Nr. 6. Warszawa, dnia 9 Lutego (28 Stycznia) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„DAJ-NI-FON."

Tak nazywają się w kronikach swoich obecni zwycięzcy chińczyków; są w nich panami „krainy wielkiego wschodu słońca." W dawniejszym świecie, nieznającym jeszcze Ameryki, u nich rzeczywiście wschód słońca był jakby największym, wschodzące słońce najbliższem, bo po rozejściu się ludów mongolskich z północnego gniazda oni to zaszli, a raczej zapłynęli aż na wschodnie krańce ziemi, która i dla nich, jak jeszcze w VI w. przed Chr. dla greków — pływającą tylko tafią lądu być mogła. Nieprzebite mroki otaczają ich kolebkę na wyspach, zamykających morze Chińskie od wschodu. Prawdopodobnie dostali się na „Daj-ni-fon" przez Koreę i długie wieki na niej przedtem spędzić musieli. Rozwinęli się na swoich wyspach samodzielnie, ale w niejednym momencie dziejów ulegali wpływowi politycznemu, cywilizacyjnemu, i nawet literackiemu, Chin. Chińczycy, jak przekręcili ich nazwę na „Dżaj-punkuo" — z czego podróżnicy średniowieczni zrobili „Zipangu," a w XVI w. francuzi „Japon"—tak im indywidualność samą wyżarali — ale jej nie wyżarli...

Niezmiernie ciekawy a nauczający, dla istotnej, porównawczej wiedzy i umiejętności ważny rozwój dał japończykom silną narodowość — silne dusze w małych, wątłych na pozór ciałach — i na jej obronę, prócz morza, wewnętrzną jeszcze warownię — własne państwo, które przetrwać umiało wszystkie zamachy i podboje chińskie i wszystkie cywilizacyjne powodzie chińszczyzny. Trzy właśnie wieki upłynęły teraz od wielkiej ich chwili dziejowej. Przez dwieście lat trzymani w zależności od Chin, którą własnowolnie na siebie w wojnach domowych XIV w. byli sprowadzili, nagle, maluczkiemu człowiekowi z ludu, Fidejosi'emu, mają do zawdzięczenia wybicie się na zupełną niepodległość. Jest to ich cesarz „Tajkosama"—ten sam, który, wypędziwszy chińczyków najpierw z Niponu, wypędził ich później i z Korei i w r. 1598 uroczystym traktatem pozyskał ją jako lenno dla Japonii. Od jego następcy, Jejossu, datuje się nowa organizacya państwa, wyolbrzymienie *tajkunatu* („szogun") ze szkodą normalnej, odwiecznej władzy *mikada*, wzmocnienie się, ale zarazem i uporządkowanie feodalizmu świeckiego i zdobywcze promieniowanie państwa na zewnątrz. W tym stanie dotrwała Japonia do naszych czasów i w naszych już oczach niejako, w r. 1867 i 8, 15-letni młodzian, dzisiejszy cesarz Mutsuhito, wydobył Mikadat z pięciowiekowego poniżenia, zniósł feodalizm, dumnych dajmio'ów ukrócił, tajkuna strącił wraz z samą instytucyą, wprowadził cywilizacyę i państwowość europejską, a wreszcie w r. 1890, w listopadzie, z woli jego i konstytucyi przez niego nadanej zebrał się w stolicy Tokio pierwszy sejm wolny narodu japońskiego. Z feodalizmu pozostali tylko hrabiowie i margrabiowie.

W XVII w. chińczycy wydarli panom Wielkiego Wschodu zwierzchnictwo nad Koreą i nawet rozkwit potęgi zdobywczej w XVIII w. nie zdołał go już japończykom powrócić. Dopiero odrodzone przez Mutsuhita cesarstwo, nie pytając o Chiny, jednostronnie, przez traktat z królem koreańskim d. 27 lutego 1876 r. zawarty, uznało Koreę za państwo wolne, zyskując w zamian dostęp do kilku portów. W traktacie tkwił *eo ipso* protektorat przeciw Chinom: mikado na to chciał widzieć Koreę wolną, aby z niej chińczyków wyparować, a usunąwszy przeszkodę, wziąć półwysep pod własne lenno. Spory o Koreę ciągnęły się lat kilkanaście, aż wreszcie w r. 1894 wybuchnęła z nich wojna. Wojsko chińskie na ziemi koreańskiej—to pogwałcenie traktatu, którym Korea zobowiązała się niejako być wolną: gdyby nie chciała lub nie mogła, japończycy zbawić ją mieli obowiązek wbrew jej woli i możności. Z tego punktu prawnego d. 29 czerwca r. z. poseł japoński w Seulu wyjednał na królu koreańskim deklaracyę niepodległości—skierowaną przeciwko Chinom, których wojska zajmowały kilka ważnych punktów półwyspu. Wtedy już i żołnierze japońscy zapoznawali się z terenem i powietrzem Korei, w stronie Fusanu, wielkiego portu południowego, otwartego dla cudzoziemców. W środku lipca wojna była już wypowiedziana, w początku sierpnia siły, wystarczające do działania, wysadzone na ląd; w sierpniu rozpoczęła się wojna. Seul zajęty; król koreański wzięty w moralne dyby; chińczycy w północnej, japończycy w południowej części półwyspu.

Nadeszła chwila odwetu za wszystkie dziejowe krzywdy. Wojsko japońskie, przez przezorny i sprężysty rząd formalnie postawione na wysokości wymagań europejskich—ujrzało przed sobą karabiny i działa europejskie, ale nie europejskich żołnierzy: hufce chińskie pozostały kupami zbrojnemi, a wyższość rozumu i dbałości politycznej japończyków objawiła się w sposób nieprzewidywany przez najśmielsze nawet umysły. W nieprzerwanym szeregu zwycięztw kroczą wojska mikada ciągle naprzód i naprzód. D. 16 września spotkał chińczyków pogrom pod Piöngjangiem. D. 17 października u ujść rzeki Jalu (Amnok), już u granic Korei i południowej Mandżuryi chińskiej, flota ich rozbita, zaledwie się w niedobitkach do Port-Arthuru schronić zdołała. D. 1 listopada stały wojska japońskie już na ziemi chińskiej, mając przed sobą daleką drogę na zachód, ku Pekinowi. W d. 21 i 22 listopada padł przy wspólnem działaniu floty i wojska lądowego ów Port-Artbur—„Tulon chiński." Zima nie wstrzymała zaciętości bojowej. Na lądzie powolnie, ale

statecznie zbliżają się japończycy do wewnętrznej zatoki chińskiej Liao-tong, do Niu-czangu; na morzu dostali się już pod drugi arsenał chiński Wei-hai-wei i według najnowszych wiadomości, nadspodziewanie prędko już w d. 2 lutego prawie w zupełności go zajęli. Za jaki miesiąc prysną lody przy brzegach i flota będzie mogła pokazać się na wewnętrznem Morzu Żółtem. Wtedy już chyba syn słońca, brat księżyca wyda swym pełnomocnikom do traktowania o pokój—pełnomocnictwa wystarczające do zaciągnięcia stanowczych zobowiązań. Będą one twarde, chociaż je Europa, opiekunka niedołęztwa chińskiego, złagodzić się postara.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prędzej, niż przewidywano, Wei-hai-wei upadło. Po bezskutecznym ataku w d. 26 z. m., przypuścili japończycy szturm skuteczny d. 30-go i zajęli forty lądowe, a d. 2 lutego i główne forty na wyspie Liu-King-tao, stanowiącej środek warowni. W tej chwili już cała twierdza chińska znajdować się musi w mocy nieprzyjaciela. Sejm japoński dosypał nowego żaru do pieca: wezwał mikada do prowadzenia wojny, póki cel jej osiągniętym nie będzie. Celem tym, jeszcze w lecie r. z. wypowiedzianym, jest złamanie nietylko potęgi, ale i oporności chińskiej na cywilizacyę. Mikado nie kwapi się z pokojem, a dopomagają mu w tem sami chińczycy przez swoje wykrętne ociąganie się w zawiązaniu układów. Znowu wysłańcy ich odjechali z Tokio z niczem; okazało się, że nie mają ważnych pełnomocnictw.

Parlament angielski d. 5 b. m. rozpoczął swój rok prawodawczy. Mowa tronowa zawiadomiła o porozumieniu się względem rozgraniczenia Sierra Leone od posiadłości francuskich, o gotowości rządu do skorzystania z pierwszej chwili, dającej nadzieję skutecznego pośredniczenia między Chinami a Japonią — i wreszcie, co najważniejsza, o wysłaniu przez Jegomość Sułtana komisyi turecko-europejskiej do Sassunu, dla zbadania nadużyć, spełnionych tam przez wojska tak regularne, jak i nieregularne. Wiadomo, że „nadużyciami" temi są wprost *rzezie*, jakich żołdactwo tureckie dopuściło się na nieszczęśliwych armeńczykach w listopadzie r. z.

Menu prawodawcze rządu angielskiego jest dość obfitem: nowe prawo agrarne w Irlandyi, odpaństwowienie (*disestablishment*) kościoła anglikańskiego w Walii, ulgi dla farmerów bez ograniczania do Irlandyi, nadzór nad szynkami, zniesienie wielogłosowości wyborców, sądy rozjemcze między robotnikami a fabrykantami. O reformie Izby wyższej ani słowa.

W sejmie ces. niemieckiego zajmowano się d. 30 i 31 z. m. „dyktaturą w Alzacyi i Lotaryngii." Alzatczycy dopominali się jej zniesienia; rząd przyznał, że ją stosuje tylko do cudzoziemców, ale dodał, że jej potrzebuje i chce mieć przeciw wszystkim. Komisya dwudziestu ośmiu zamienia się zwolna w ogólny komitet bezpieczeństwa i przystojności publicznej. Centrum, mające prawdopodobnie już skrypt w zanadrzu, proponuje kary na ogłaszających fakty, które stanowią tajemnicę rządu, dopóki ich nie ogłosi dziennik rządowy, i domaga się zaostrzenia kar za pojedynki. Pierwszy z tych pomysłów spowodowany jest tem, że dziennik socyalistyczny *Vorwärts* ogłosił słynne edykty urodzinowe cesarza Wilhelma o upominkach monarszych dla rożnych instytucyj cywilnych i wojskowych wprzód, nim pośpieszył łamy swoje niemi wypełnić *Reichsanzeiger*. Tenże dziennik socyalistyczny podał poufną rozmowę cesarza z „czarnym człowiekiem," Lucanusem, o zarazie socyalistycznej, przenikającej do szkół. W materyi głównej komisya dobiega już do końca.

Królowie saski, wirtemberski i regent bawarski, za przykładem cesarza Wilhelma, nakazać mają i swoim także armiom uroczyste święcenie w r. b. dwudziestopięciolecia wojny z Francyą.

Pruska Izba deputowanych rozprawiała przez trzy ostatnie dni stycznia o nędzy rolników. Minister Hammerstein nie uważa projektowanego przez Kanitza zmonopolizowania handlu zbożem zagranicznem za zdrożne, przeciwnie świeżym traktatom handlowym z Rosyą i Austryą, i pozwala nawet agraryuszom żyć nadzieją, że sam postara się o rewizyę tych traktatów. Również nie uchyla się minister od inicyatywy dla przywrócenia bimetalizmu — uznanego także za niezbędny dla rolnictwa. To będą dwa wielkie środki zbawienia; mnóstwo mniejszych wyliczył minister d. 29 z. m. Wśród nich znajduje się i „kolonizacya wewnętrzna." Do tej zabrał się p. Hammerstein z niezmiernym pośpiechem i już d. 4 b. m. Izba deputowanych radziła nad projektem „komisyi generalnej" dla Prus wschodnich. Ma to być coś w rodzaju komisyi kolonizacyjnej na Poznańskie i Prusy zachodnie. W odpowiedzi na zapytanie Zedlitza: o co rządowi chodzi, o rolnictwo, czy o politykę?— p. Hammerstein odpowiedział, że o rolnictwo; interesy polityczne inną drogą zaspokojone będą; ministeryum stanu właśnie bada z wielką pilnością: zali nie potrzeba nowych środków, zapobiegających polszczeniu prowincyj wschodnich?

W Berlinie zwraca na siebie uwagę wizyta hr. Herberta Bismarka u cesarza Wilhelma d. 2 b. m. Hrabia ma podobno otrzymać jedno z większych poselstw.

We Francyi była znowu burza parlamentarna — d. 31 z. m. Umarł d. 28 z. m. Canrobert, marszałek Drugiego Cesarstwa, a co ważniejsza, jego współtwórca, bo w r. 1850 i 51 dowodził sławnym obozem pod Satory, a d. 2 i 3 grudnia usuwał deputowanych z Palais Bourbon, lud zaś paryski z ulic Paryża. Gdy ministrowie zażądali 20,000 fr. na pogrzeb, wywiązały się żywe spory, złorzeczenia, wymysły, pojedynki. Garść republikanów szczerych broniła godności Rzeczpospolitej; szara masa uznawała zasługi wojskowe; bulanżyści i monarchiści kokietowali armię. Posunięto się do apoteozowania 2 grudnia, przeciw czemu zaprotestował prezes Brisson. Po odrzuceniu wniosku Grousseta, aby wznieść pomnik Bodinowi, poległemu d. 2 grudnia na barykadzie, 288 posłów przeciw 159 dało rządowi owe 20,000 fr. Senat uchwałę zatwierdził, ale również wśród wzburzenia i protestacyi republikanów, pamiętających jeszcze narodziny Drugiego Cesarstwa.

Dorocznym zwyczajem, radykaliści i socyaliści zażądali zniesienia poselstwa przy Watykanie. Izba deput. utrzymała etat przewagą 348 głosów nad 165.

D. 4 b. m. rozprawiano w tej Izbie nad używaniem okrętów angielskich do przewozu wojsk francuskich na Madagaskar. Min. wojny Zurlinden wyznał, że własno-

---

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Widok 7.

Ogniska powoli gasły, a ciężkie opary czołgały się po ziemi lub czepiały drzew. Poranny wietrzyk daremnie czyścił powietrze z gęstych, duszących swędów. Wojownicy spali, tylko tu i owdzie przesuwały się kobiety lub psy, które wyszukiwały niedojedzonych resztek. W ciszy grało zmieszane z wielu rzężeń i świstów chrapanie. Nadszedł Alrun ze Zmikiem.

Zmik.

Zjedli wszystko; jutro nie będą mieli czem gębom przypomnieć dzisiejszej biesiady. Zęby napracowały się, ale odpoczną.

Itam.

Jeżeli nie ostrzegłeś Zmiku bogów, ażeby byli wstrzemięźliwi i zostawili sobie trochę ofiar na później, to może im również zbraknie pożywienia.

Zmik.

Ty milcz i nie wspominaj o nich, bo ci język spuchnie.

Itam.

To sobie kawałek z niego odgryzę i złożę głodnym bogom, którzy mi za to podziękują.

Alrun.

Widzę jeszcze dosyć resztek — na jutro gromadzie wystarczy.

Zmik.

Czy nie słyszysz pomrukiwania szakalów, które tu przyjdą i wszystko uprzątną?

Alrun.

Straż ich nie dopuści.

Itam.

Bardzo ją o to proszę, bo głupi szakal mógłby się pomylić i wziąć Zmika za nieogryzioną kość. A co byśmy poczęli bez czarodzieja?

Zmik.

Odpędź tego gada, który za nami pełza, jeśli chcesz, ażeby bogowie byli dla ciebie łaskawi, a ja użyteczny.

Alrun.

Nie zwracaj uwagi na jego żarty. Itamie, schowaj żądło!

Itam.

Może mnie Zmik zwinąć w kłębek i targać — nie ukłuję go.

Zmik.

Gdy składałem ofiary, w chmurze ukazał mi się uśmiechnięty bóg Jam... Jest to dobra wróżba. Jeśli on nam dopomoże, wkrótce Orla będzie służebnicą rozkoszy twojej.

Alrun.

Daj mu więcej, niech tę chwilę przyspieszy.

Zmik.

Nie można go naglić. Bądź cierpliwy, Alrunie.

Alrun.

Zatem idźmy spać. Dobranoc ci, Zmiku. Chodź ze mną Itamie, wyrzucisz mi z namiotu obrzydłą dziewkę i położysz się na jej miejscu.

Itam.

O, nie, wyrzucę z nią i siebie.

Alrun.

Będziesz mnie bawił, błaźnie, kiedy umiesz.

Rozeszli się. Nad obozowiskiem zawisł na szerokich czarnych skrzydłach wielogłowy Jam, ogarnął śpiących zadowolonym wzrokiem i zniknął w przestworzu.

Widok 8.

Obłoki wlewały się w niebo ze wszech stron, jak szara piana w błękitną wazę i szybko wypełniły ją całkowicie. Wtedy grom zaczął w nią uderzać potężną ręką, a ona za każdym

mi siłami swemi Francya nie mogłaby operacyi tej dokonać dobrze i prędko.

Tegoż dnia pochowano Canroberta, przy kondolencyi cesarza Wilhelma dla „bohatera z pod St. Privat" (dn. 16 sierpnia 1870 r.), a po mowie gen Zurlinden, przypominającej krew wojny krymskiej i z krwi tej powstałą przyjaźń Rosyi z Francyą w interesie pokoju.

Na Madagaskarze francuzi zbombardowali Majungę, zajęli w zupełności Tamatawę i ostrzeliwują forty nad rzeką Ipoka.

BADANIA NAUKOWE.

HYPNOZA W KULCIE.

I. Książka Stolla.

Praca Ottona Stolla *), poświęcona hypnotyzmowi i suggestyi w zjawiskach życia gromadzkiego, jest wzorem długiej, bo dziesięcioletniej pracy. Autor, profesor geografii i etnologii na wszechnicy w Zurychu i jednocześnie z zawodu lekarz, studyował niegdyś te szczególne stany ducha, które występują na jaw podczas bezwładności hypnotycznej, w klinice w Nancy pod kierunkiem Bernheima, książka zaś jego czyni takie wrażenie, że jej autor jest gorliwym wyznawcą poglądów tego wybitnego badacza, może nawet jest bardziej bernheimistą, niż Bernheim sam. O ile wolno wnioskować z luźnych wzmianek, rozrzuconych w wydanem dziele, odbywał on dalekie podróże, był między innemi w Indyach Zachodnich i tam spostrzegł, w świecie szamańszczyzny pierwotnej, parę faktów, które nasunęły mu na myśl obrazy, widywane w pracowni hypnotycznej. Może wtedy zrodziła się w głowie jego idea rzucenia światła na mistycyzm pierwotny i jego obrządki z odpowiedniego punktu widzenia. Rozpoczęły się studya nad tym przedmiotem, przeplatane próbami w klinice wywoływania pewnych złudzeń, o których jest mowa w praktyce czarodziejskiej, oraz ściąganiem materyału z pierwszej ręki, od znajomych, znajdujących się w krajach egzotycznych. W książce swojej Stoll roztacza przed nami obrazy, zaczerpnięte z najrozmaitszych okolic globu oraz epok dziejowych. Syberya (inorodcy), Chiny i Japonia, Indye Przedgangesowe, Afryka, Ameryka środkowa i Australia, dostarczają mu obfitego materyału, który zresztą mógłby być jeszcze obfitszy i lepiej dobrany. Później zwraca się autor do świata klasycznego, w świetle hypnotyzmu oraz suggestyi przedstawiając starożytne podania i mysterye, oraz do Mezopotamii, Judei. W końcu przechodzi do dziejów epoki chrześciańskiej, zatrzymuje się nad objawami masowych obłędów, np. nad zbiorowemi demonomaniami, i kończy na psychologii dzisiejszych popędów trzodowych. Temat to obszerny i wyzyskany, jak to z naciskiem zaznacza autor, po raz pierwszy z takiego stanowiska — dotychczas wszystkie podawane fakty uchodziły za szalbierstwo! Moglibyśmy nieco pokłócić się z Stollem o prawo pierwszeństwa co do niektórych poglądów. Przed laty siedmiu drukowaliśmy w *Prawdzie* parę prac o czarach, wilkołakach, demonomanii. Nie piętnowaliśmy tych ponurych postaci jako kuglarzy, ani nie odrzucaliśmy podań o wilkołakach jako bezpodstawnego wymysłu. Hypnozę z samosuggestyą uznaliśmy tam za czynniki, które, zanim nauka raczyła je uznać, od wieków i nawet tysięcoleci stanowiły sprężynę cudów, leków i mysteryj. Ale bynajmniej nie myślimy ubiegać się o zaszczyt pierwszeństwa. Dalsze studya nam wykazały, że w rozwoju filozofii mistycznej i opartego na niej kultu odegrały doniosłą rolę jeszcze inne czynniki, obce zasadniczo uśpieniu hypnotycznemu i suggestyi. Już naówczas zaznaczyliśmy, że w wilkołactwie prócz suggestyi należy brać pod uwagę chuć erotyczno-krwiożerczą, jaką spostrzegamy u epileptyków-gwałcicieli chwili obecnej. Później wypadło nam uznać olbrzymie znaczenie cerebracyi nieświadomej, która może więcej zaważyła, aniżeli suggestya, z jaką niesłusznie została splątana przez profesora zuryskiego. Stoll tymczasem po za suggestyą i hypnozą nic więcej nie dostrzega i za pomocą tych wytrychów teoretycznych usiłuje odemknąć wszystkie tajniki mistycyzmu. Jednostronny, jak zwykle bywa z każdym, kto pierwszy wpadł na myśl pewną i pragnie na niej wypłynąć, wtyka to swoje czynniki nawet tam, gdzie są albo niepotrzebne, albo może niedostateczne. Probuje tłomaczyć rzeczy, o których nie posiadamy ani jednego sumiennego opisu, prócz czczej, bo gołej wzmianki. Zapomina o tej prawdzie, że w nauce niekiedy lepiej czegoś zgoła niewyjaśnić i pozostawionej luki nie przykrywać pierwszą lepszą zasłoną, aniżeli stwarzać przedwczesną hypnozę i tem samem na przyszłych badaczów wkładać pewne uprzedzenie apriorystyczne.

Przejdźmy jednak do samej książki.

Stoll z góry powiada, że co do kapłanów i czarodziejów pierwotnych, uważne studya przekonały go, iż już w najdawniejszych epokach znali oni empirycznie te praktyki i środki, które opierają się na hypnozie i poddawaniu. Takie ceremonie, jak wtajemniczanie w mysterye kapłańskie nowych kandydatów, jak święta dojrzałości męzkiej i poszukiwanie patrona, jak leki pierwotne i umiejętność wróżenia świadczą każdym swoim szczegółem o takiej znajomości ducha ludzkiego. Do tej myśli powraca autor kilkakrotnie na stronicach swojego dzieła. „Jeżeli wedle sił naszych — powiada w jednym ustępie swej pracy — probujemy wyłączyć zgoła nieprawdopodobne szczegóły z opisów o nadzwyczajnych czarodziejskich zdolnościach indyan, to przecież pozostanie nam jeszcze pewna resztka, pod wielu względami godna uwagi a dowodząca, że nietylko w Meksyku, ale również w ościennych krajach technika oddziaływania na umysły za pomocą poddawania była doprowadzona do najwyższej doskonałości, tak iż sztuczki, płatane przez czarodziejów starego Meksyku, niemal że nie ustępują hinduskim." Stoll opisuje jeden z faktów, przytoczonych w kronice i wreszcie kończy uwagą, że „zarówno w Nowym, jako też w Starym Świecie, na podstawie z początku zgoła przypadkowych spostrzeżeń, czarodzieje doszli, drogą metodycznego a cierpliwie powtarzanego eksperymentu oraz zręcznego użytkowania ze swej wiedzy, do znajomości tych kategoryj suggestyi, które najsilniej oddziaływają na ducha ludzkiego i wywołują pomiędzy niewtajemniczonymi tłumami wrażenie najjaskrawsze." Poszukując wszędzie objawów suggestyi i hypnozy, uczony szwajcarski prawie zupełnie

*) *Hypnotismus und Suggestion in der Völkerpsychologie.*

---

razem pękała błyskawicami i bryzgała na ziemię potokami deszczu. Powoli jednak chmury wyczerpały się z wody, niebo oczyściło się z mętów i ukazało dno szafirowe. Tylko na jego krawędziach pozostały szlaki i szmaty obłoczne. Przed namiotem leżał Alrun, przy nim stał Zmik, a dalej Itam malował sobie farbami pręgi na nogach.

Alrun.

Cóż mi z tego, że wyją z głodu, że chcą zjeść dzieci i kobiety, kiedy żaden z posłańców nie wrócił.

Itam.

Albo im źle! Nabili i napiekli sobie zwierzyny, naluskali orzechów, leżą syci, śmieją się i mówią...

Alrun.

Skąd wiesz, że tak jest? Co mówią?!

Itam.

Mówią, że baran zgubił głupotę, a szczęśliwy Zmik ją znalazł i podarował Alrunowi.

Zmik.

Alrunie, pozwolisz się tak znieważać?

Alrun.

Niech łży mnie, ciebie, wszystkich, jeśli wyżej od nas wlazł i dalej widzi. Jaką głupotę?

Itam.

Zmik zaręczył, że Orlę i Arjosa doścignie człowiek głodny. Więc za jego radą wysłałeś w pogoń kilku ludzi ogłodzonych, zapomniawszy, że oni po drodze się najedzą, a ci, którzy cierpią niedostatek, pozostali w obozie — i wróżby nie spełnią.

Alrun.

Prawda, jasna prawda! Zmiku, jesteś tak głupi, że z czerepu twej głowy spragniony osioł nie napiłby się wody. Albo może jesteś tak nikczemny, że chcesz mnie durzyć? Eh, pomyśl ty, że ja cię mogę powiesić za kłamliwy język.

Zmik.

Nie wątpię o tem, Alrunie, ale zdaje mi się, że twoim doradcą nie powinien być błazen. Wróżbę, którą ci dałem, wziąłem z ust bogów. Nie znaczy ona wcale, ażeby człowiek, który odnajdzie Orlę i Arjosa, miał pusty żołądek, lecz żeby wysłany był głodnym.

Alrun.

Czemuż tak odrazu nie wytłomaczyłeś? Gniew mnie daremnie poszarpał. Itamie, przetknij sobie wargi kolkiem i milcz. Słabo mi, czuję się niezdrów.

Zmik.

Zauważyłem to jeszcze wczoraj i dlatego przyniosłem ptaka, na którego włożę twoją chorobę i wypuszczę go, ażeby ją uniósł.

Otworzył kilka palców z zaciśniętej pięści i pokazał główkę pliszki.

Itam.

Pliszka! Odleci na rzut strzały, usiądzie i pokiwa ogonkiem nad mądrością naszego czarodzieja.

Zmik.

Bądź zdrów, Alrunie, ja nie mam przy tobie co robić. Niech on cię wyleczy.

Alrun.

Zostań, Zmiku, proszę cię. Itamie, zniknij mi z oczu.

Itam.

Nie gniewaj się, wodzu. Gdy Zmik nadzieje chorobą tego ptaszka, ja go wraz z nią zjem i będę za ciebie cierpiał.

Zmik.

Niech zje.

Itam.

Najchętniej — i nic mi nie będzie.

Zmik włożył ptaka pod pachę Alrunowi.

Zmik.

Naciśnij go mocno, ażeby nie uciekł, a ja się pomodlę. Potężny duchu choroby, opuść ciało tego człowieka, wejdź w ptaka i odleć z nim daleko. Złożymy ci za to najprzedniejsze ofiary. Pokornie błaga cię sługa twój, kapłan, któremu wyświadcz tę łaskę i nie wydaj na pośmiewisko swoim uporem.

Alrun.

Lżej mi, lepiej..

Zmik.

Wyjmij ptaka i puść go.

Alrun.

Nieżywy.

pominął psychologię samych znachorów. Zaledwie tu i owdzie rzucił parę luźnych uwag. Nie zdołał jednak zupełnie pominąć tego punktu. Zdaniem jego, szamani syberyjscy — bierzemy przypadek pojedynczy, chociaż to, co o nim mówi, stosuje się powszechnie — stanowią wśród swojego plemienia dobór natur względnie wyjątkowych. Na czarodziejów wychodzą te osoby, bez względu na płeć, które odznaczają się nadmierną wrażliwością i nerwowością, oraz pewną skłonnością do podlegania atakom epileptycznym. Ale natychmiast czyni Stoll zastrzeżenie, zmniejszające doniosłość owej predyspozycyi, bo powiada, że jednak z powyższego bynajmniej nie wynika, żebyśmy w gronie szamanów mieli zawsze do czynienia z naturami mniej lub więcej psychiatrycznemi. Ktoś, zanim zostanie szamanem zawodowym, ćwiczy się długo i wprawia w swoim fachu; pod wpływem tradycyi oraz częstego widywania konwulsyj swoich nauczycieli, dochodzi on do umiejętności hypnotyzowania siebie na zawołanie, tak iż dowolnie może wywoływać w sobie stan zachwytu oraz popisywać się dreszczami i spazmami proroczymi. Do podniety używa różnych środków mechanicznych: zebrana publiczność swojem zachowaniem już wprawia go w stan szczególny, naśladowanie głosów zwierzęcych, śpiewy chóralne, taniec, pobrzękiwanie świecidełkami, przyczepionemi do sukni, uderzanie w bęben czarodziejski do reszty hypnotyzują go, tem bardziej, że w umyśle jego istnieje już suggestya, że na odgłos tych bodźców winien znaleźć się w nastroju odpowiednim. W zbiorowem oddziaływaniu z jednej strony wprawy, z drugiej zaś przedistniejącego usposobienia nerwowego, z biegiem czasu u szamana rozwija się niezwykła pobudliwość i w ciągu dalszym skłonność do złudzeń i halucynacyj. Stoll przytacza mnóstwo opowieści, świadczących o tem, jak szamani, czarodzieje i kapłani pierwotni w różnych zakątkach globu ziemskiego są pastwą widziadeł, które na krok ich nie odstępują, niekiedy zaś formalnie ścigają i prześladują. Mówiąc później o somnambuliczkach chińskich, których zawód polega na tem, że bywają wzywane do rodzin osieroconych przez śmierć czyję i tam w transie przywołują zmarłych, powraca autor znowu do tematu o uczciwości znachorów. Sądzi on, że jakkolwiek nie jest wykluczoną możliwość, ażeby pomiędzy temi pośredniczkami świata żyjącego z martwym nie było szalbierek, to przecież w całej ich praktyce niema ani jednego szczegółu, którego nie dałoby się wytłomaczyć w sposób racyonalniejszy a naturalniejszy za pomocą autosuggestyi. Między innemi, poruszając bez ustanku praktyki i obrządki szamańskie, Stoll nie mógł pozostawić na uboczu różnych sztuczek, używanych systematycznie przez czarodziejów: wyjmowania kamieni z ciała chorej osoby, wyciągania innych dowodów uroku itd. Nasz etnograf, naturalnie, nie waha się ochrzcić tej rzeczy właściwem imieniem, tj. uznać jej za szalbierstwo. Ale wykazując tego rodzaju figle, świadomie fałszowane, bynajmniej nie rozciąga wniosku o oszustwie na całość obrządku, sądzi raczej, że takie kuglarstwa stanowią naleciałość przypadkową, są doniosłości podrzędnej. Myśl swoją uprzytomnia czytelnikowi szczęśliwem porównaniem szamanów z naszymi europejskimi lokarzami. I ci równie, w swojej praktyce, ażeby oszołomić pacyentów, chętnie posługują się różnymi środkami i środeczkami, często aż nazbyt przejrzystej natury. Ale mimo tych fortelów profesyonalnych, istnieje tam coś więcej: w głębi lekarz jest przekonany o skuteczności swojej pomocy, środeczki zaś są drobiazgiom podrzędnym.

Załatwiwszy się z fizyognomią szamanów, profesor zuryski przechodzi do rodowodu podań i sag, o których tyle czytamy w zbiorach folklorystycznych. I znowu wypowiada pogląd, że nawet stojąc wobec największych niedorzeczności, nie należy ryczałtem odrzucać wszystkiego. Posuwa się nawet tak daleko, że w podaniach o marach, widziadłach, wilkołakach itd. gotów widzieć rdzeń faktyczny — suggestyi zbiorowej, który to fakt został w opowieści upiększony różnymi dodatkami. Podnoszenie się np. fakirów w powietrzu i podobne „cuda" szamanów meksykańskich uważa za tego rodzaju zdarzenia, polegające na tem, że kuglarz-czarodziej posiada umiejętność oczarowania widzów, tj. poddania im odpowiedniej idei. Wogóle uczony szwajcarski zanadto operuje tą nieznaną wielkością, którą zachciało mu się ochrzcić mianem suggestyi zbiorowej. Możliwość podobnego stanu psychicznego nie ulega wątpliwości, bo niejednokrotnie stwierdzono szczerość i jednozgodność przywidzeń masowych, ale mechanizm dowolnego wywoływania suggestyi wśród znacznego grona widzów jest rzeczą, acz prawdopodobną, przecież dotychczas nie wypróbowaną empirycznie i nawet zgoła nie przedsiębraną. Stoll zaś nadużywa jej ustawicznie i śmiało powołuje się na tę kategoryę zjawisk duchowych, gdziekolwiek zdarzenie jest przez wielu stwierdzone, a treść jego zanadto ryzykowną. Przeniewierzył się on zasadzie powściągliwości, a raczej empiryi, której jest wyznawcą; kiedy idzie o psychologię wilkołactwa — używamy terminu swojskiego, chociaż mówimy nietylko o przybieraniu przez ludzi postaci wilczej, ale też lwiej, tygrysiej i wogóle wszelkich możliwych zwierząt. Wychodząc z punktu widzenia, że podobnego rodzaju opowieści, uchodzące zwykle za kłamstwo wierutne, powstały przecież ze szczerego stanu psychicznego, Stoll zabrał się do czynienia stosownych doświadczeń. Między innemi zahypnotyzował dziewczynę, która okazywała uległość względem suggestyi, i w tym stanie poddał jej ideę, że po ocknięciu się zamiast głów ludzkich ma widzieć dokoła siebie łby niedźwiedzie, tygrysie i inne. Zbyteczna dodawać, że doświadczenie się powiodło. Wnioskuje więc, że na dnie innych opowieści i legend spoczywa podobna prawda psychologiczna — suggestya, narzucona przez innych, albo też poddana samemu sobie. „Wartość etnologiczna takich historyj — powiada — polega naturalnie na tem tylko, że pozwalają one nam poznać rozpowszechniony pomiędzy całym rodem ludzkim rdzeń istotnego doświadczenia, datującego się od czasów najdawniejszych, a przekształconego i skombinowanego w sposób jak najrozmaitszy. Rdzeń ów, to powszechna podatność względem oddziaływań suggestyjnych." Nawiasowo musimy nadmienić, że nie zaprzeczając doniosłości wyłuszczonego czynnika, nie możemy przecież zgodzić się na stosowanie go w takiej rozciągłości, w jakiej to czyni profesor zuryski. Przeglądając podane w książce fakty, znaleźliśmy mnóstwo, które bezwarunkowo pochodzą z innego źródła: niektóre stanowią dobytek filozofii totemistycznej, inne są płodem innej epoki i powstały, jako ogniwo logiczne pewnych założeń, które są zgoła obce doświadczeniu suggestyjnemu.

Jeszcze częstszem jest użycie snu hypno-

Zmik.

Duch wszedł w niego i zabił, bo tak wielka choroba nie mogła się zmieścić w tak małem stworzeniu.

Itam.

Zdaje mi się, Alrunie, żeś pliszkę udusił?

Alrun.

Zjedz ją, kiedy przyrzekłeś.

Zmik.

O nie, duch mógłby znowu przeskoczyć z tego błazna w ciebie. Ja ptaka głęboko zakopię.

Itam.

Zabrał mi smaczny kąsek.

Alrun.

Odejdź, Itamie, odejdź dokuczliwy liszaju... Nie chcę twoich szyderstw! Wszystkie zło duchy niemi na mnie rozdrażnisz.

Itam odszedł, śpiewając.

Arjos jagódki
Z ust swej Orliczki
Zbiera.

Alrun zaś smutki
Ściskaniem pliszki
Ściera.

Alrun.

Co on śpiewa? Słyszałeś? Itamie, chodź tu...

Zmik.

Zadrwił z ciebie i ucieka.

Alrun cisnął włócznią za Itamem, który jej uniknął i skrył się w las.

Alrun.

Nie ujdziesz mi, łotrze! Za co ja lubię tego chłopca, kiedy on taki zły, jak gdyby miał w gębie gniazdo żmij! Ale trzeba go raz ukarać. Nie mogę go ścigać, bo kości w nogach mi rozmiękły.

Zmik.

Dziś jeszcze będziesz zdrów. Niech tylko posłańcy wrócą z dobrą nowiną.

Alrun.

Naucz się mówić, bałwanie, ja nie chcę żadnej nowiny, ja chcę Orli.

Zmik.

Będziesz ją miał. Tej nocy śnił mi się olbrzymi cedr, na którym zamiast szyszek wisiały żółwie.

Alrun.

Dlaczegóż to ma znaczyć, że dostanę Orlę?

Zmik.

Jak żółwie przyszły i uczepiły się na gałęziach cedru, tak ona uczepi się rąk twoich.

Alrun.

Aha! Jak to wy umiecie wszystko zgrabnie wytłomaczyć... Objaśnij mi też jedną zagadkę: jeżeli dusza we śnie człowieka opuszcza jego ciało i odbywa wędrówki, dlaczego moja dotąd nie powiedziała mi, gdzie są Arjos i Orla?

Zmik.

Dlatego, że twoja dusza jest tłusta, ciężka i ma błoniaste skrzydła, więc daleko odbiedz nie może, a musi wrócić przed zbudzeniem się ciała. Tylko dusza kapłana jest chuda, lekka i bystra.

Alrun.

To ja swoją zamienię na inną, albo wypędzę. Niech sobie lata, dopóki chce, będę spał chociażby do drugiej pełni. Albo ty zaśnij i wypuść swoją duszę na zwiady.

Zmik.

Kiedy każda dusza wychodzi z człowieka i wraca na rozkaz bogów.

Alrun.

Ach, te bogi! Jak tylko mięso parą się zakurzy, natychmiast wyciągają chciwe nosy, a kiedy trzeba dopomódz człowiekowi, leżą jak wałkonie i ziewają.

Zmik.

Mądrzejsi są od ludzi, więc sami sobie wybierają chwilę działania.

Alrun.

A gdyby poprosić tych mniejszych fetyszów...

Zmik.

Prosiłem już najuczynniejszych, a mam ze stu takich, którzy mi wiele dobrego zrobili i nigdy nie zawiedli. Przyrzekłem, że im dam słodkich i odurzających napitków, że ich długo nie będę trudził innemi sprawami.

Alrun.

I nic... Zbij ich, potłucz, połam i wyrzuć... Oświadcz bogom, że im nic nie dam,

tycznego lub prostej suggestyi w praktyce leczniczej ludów pierwotnych. Środki te, stosowane sporadycznie w naszych klinikach, stanowią, na łonie życia dzikiego i w zaraniu cywilizacyi, jeden z najważniejszych medykamentów, istotną alfę i omegę znachorstwa pierwotnego. Każdy szczegół, użyty przez szamana, chociażby najniedorzeczniejszy w naszych czasach, posiada tam swoją wartość, bo służy do podniesienia uroku zażegnywania. Stoll usiłuje dowieść, że również na dnie zaklęć ludowych przeciwko pewnym chorobom spoczywają wpływy tego rodzaju, jakkolwiek już mocno zatarte i wykoszlawione. Nasze środki przeciwko brodawkom, jęczmieniom, ranom są dzisiaj niby ciałem, z którego ożywiający je duch uleciał. W spuściznie po wiekach ubiegłych pozostały tylko formy zewnętrzne: dobór słów, gróźb, praktyka mierzenia lub liczenia, zawiązywanie supłów, ale to, co stanowiło ongi jądro ceremonii i nadawało jej doniosłość leczniczą, mianowicie żywioł suggestyjny, to właśnie zniknęło.

Zatrzymaliśmy się nad zasadniczymi poglądami, wygłoszonymi przez etnografa szwajcarskiego w jego dziele. Zapatrywania te zostały poparte, lub lepiej może byłoby powiedzieć: zilustrowane przez niezliczoną moc faktów, zaczerpniętych, jak wiemy, z najrozmaitszych zakątków globu ziemskiego. Nad niektóremi kategoryami zjawisk, podniesionych przez Stolla, zastanowimy się szczegółowiej w numerach następnych.

L. K.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

List niniejszy muszę zacząć od tak zwanej „kwestyi kobiecej,“ którą ostatnimi czasy zaczęto w Galicyi nader żywo się interesować. Zarówno opinia publiczna, jak i sfery urzędowe zajęły się nią na seryo od kilku lat zaledwie. Nie chodzi tu bynajmniej o żadne prawa lub przywileje jednej albo drugiej strony, tylko o naukę średnią, o posunięcie nieco naprzód ogólnej skali naukowej, panującej dziś w systemie szkół dla kobiet. O dopuszczeniu niewiast do uniwersytetów na razie mowy nie ma. Jedyny wyłom w tym punkcie zrobiły dwie warszawianki, p. Sikorska i p. Dowgiełło, które złożyły maturę i rozpoczęły regularne studya uniwersyteckie w Krakowie jako przyszłe aptekarki. Może tym wyłomem, zrobionym spokojnie, poważnie i bez blagi, tak zwykłej u hałaśliwych przodownic zek w walce o prawa kobiet, wejdą inne—teraz nie ma ich jednak.

Najważniejszym punktem, koło którego obracają się wszystkie narody teraźniejsze, do którego zdążają wszelkie pragnienia ludzi postępowych w Galicyi jest podniesienie poziomu średnich szkół kobiecych. Obecnie całe wykształcenie, połączone z wychowaniem kobiet w Galicyi, spoczywa w tak zwanych pensyonatach prywatnych—bez względu na to, czy są one w ręku osób świeckich czy duchownych. Jak stoi wychowanie w takich zakładach, o tem mówić na razie przynajmniej nie będę, co zaś do skali naukowej, pensyonaty żeńskie, z bardzo małym wyjątkiem, stoją na stopniu 4 lub 5-ej klasy szkół męzkich, z dodaniem muzyki, tańców i języka francuskiego. Takich pensyonatów jest we Lwowie dużo: Benedyktynek, Sakramentek, Ormianek, Sacré-Coeur, pensya pp. Niedziałkowskiej, Poh i Zagórskiej (francuska). Tak więc wychowanie i nauka młodego pokolenia kobiet spoczywają w ręku cudzoziemek i klasztorów. Zakres nauki, metody nauczania jako też system pedagogiczny pensyonatów cudzoziemskich są powszechnie ganione—i słusznie. Z wyjątkiem polskiego pensyonatu Niedziałkowskiej, cudzoziemki traktują swoje zakłady jako wyłącznie interes; nie o naukę im chodzi, lecz o uczenice; pobłażliwością przeto bezkrytyczną a szkodliwą, starają się zwiększyć liczbę uczenic kosztem wiadomości, nauki, a często zdrowia, gdyż niektóre pensyonaty posiadają tak szczupły lokal, że dziewczęta sypiają w salach wykładowych, a zdarza się niekiedy, że pościel sprzątają wtedy dopiero, gdy profesor przychodzi.

Wobec tego nic dziw, że opinia publiczna jest zaniepokojona faktem wychowywania dzieci polskich przez niemki i francuzki i domaga się zamiast prywatnych pensyonatów, dobrych szkół publicznych. Jedna z obywatelek w Przemyskiem, ś. p. Stefania Przedrzymirska, zmarła niedawno, zapisała znaczny bardzo legat na założenie liceum żeńskiego w Przemyślu. Myśl piękna sama przez się, może być spaczona wykonaniem, jeżeli tylko w życie wejdzie, tj. jeżeli rzeczywiście przyjdzie do otwarcia liceum w Przemyślu, gdyż łatwo może się ono znaleźć w tem niemiłem położeniu, że posiadając gmach i nauczycieli, nie będzie miało uczenic. Trzeba wiedzieć, czem istotnie jest Przemyśl? Malutką mieściną prowincyonalną, przepełnioną żydami i żołdactwem austryackiem, które stałą załogą stoi w fortecy. Miasto przeto samo przez się nie będzie mogło dostarczyć uczenic, a obywatele sąsiedni nie zechcą oddawać swoich córek do zakładu naukowego, mającego siedzibę pośród znanej z arogancyi i zuchwalstwa oficerady austryackiej. Założenie więc liceum żeńskiego w Przemyślu jest projektem, jak to mówią — na piasku pisanym.

Daleko rychlej mogą do pożądanego skutku doprowadzić narady, odbywane we Lwowie, nad utworzeniem wyższych zakładów naukowych żeńskich, tem bardziej, że i władza szkolna gorący udział w nich bierze. Nie powzięto wprawdzie w tym względzie żadnych stanowczych uchwał, ale sam fakt uznania istniejących szkół żeńskich za bardzo nieodpowiednie, na uwagę zasługuje. Przedewszystkiem wyrazów „wyższe szkoły żeńskie“ nie należy brać w znaczeniu dosłownem, ale raczej względnem, w stosunku do istniejących obecnie zakładów naukowo-wychowawczych, które wszystkie stoją znacznie niżej od programu szkolnego średnich szkół męzkich. Narady, o których wspomniałem wyżej, zwołali profesorowie Żuliński i Sołtysik przy współudziale kilku kobiet i radcy szkolnego, Bolesława Baranowskiego. Rozprawy nad tem, czy mają być przekształcone szkoły t. zw. wydziałowe, czy założone liceum lub gimnazyum, nie doprowadziły do stanowczych uchwał, tak samo, jak przed rokiem prawie, kiedy sprawę potrzeby założenia gimnazyum podniósł poseł Okuniewski. Tak więc w tej całej sprawie jedno tylko zaznaczyć należy — zainteresowanie się i ożywienie w postaci narad i projektów. Co z tego

---

że wszystkich zagłodzę, jeśli mi nie wskażą miejsca, gdzie się schroniła Orla.

Zmik.

Bogowie nie znają strachu i nie lękają się zemsty. Tylko modłom ulegają, a mam prawie pewność, że wkrótce spełnią twoje pragnienie.

Alrun.

Dobrze, będę czekał, ale jeżeli przekonam się, żeś mnie okłamał, wtedy zazdrość losu najnędzniejszemu robakowi, który leży między paznokciami wściekłego człowieka.

Zmik.

Zrobiłem, co mogłem i umiem. Nie dosyć ci tego, pójdę sam w pogoń za zbiegami.

Alrun.

Rozumiem — chcesz mi się z rąk wyśliznąć. Ale ja cię nie puszczę, muszę wynagrodzić lub ukarać. A ukarzę cię tak strasznie, że napełnione twoim jękiem powietrze brzmieć będzie przez długie pokolenia. Tak nielitościwie spastwię się nad tobą, że przylecą tu z nieba wszystkie bogi i duchy, na klęczkach błagać mnie będą o miłosierdzie — a ja nie ustąpię! Pobladłeś ze strachu — przyznaj się, że mnie zwodzisz, że nie wierzysz w pomoc bogów!..

Zmik.

Wierzę.

Alrun powstał, chwycił Zmika za ramiona i krzyczał podartym od wysiłku głosem.

Alrun.

Przyznaj się, bo dopóty tobą trząść będę, aż ci ślepie do nóg moich wypadną.

Zmik.

Wierzę.

Alrun.

I bogowie do ciebie rzeczywiście przemawiają? — ty ich słyszysz?

Zmik.

Tak.

Alrun.

Więc niech powiedzą, czego jeszcze pragną. Oddam im i zrobię wszystko, co każą. Jeśli tego zażądają, porozdzieram zębami najmężniejszych wojowników, spać będę na zarzewiu, położę sobie pod głowę mrowisko, wytarzam się na cierniach, abym tylko ją posiadał. Wyrzeknę się nawet zemsty, obdarnuję Arjosa, ale niech mi przywiodą Orlę. Ach, gdybym ją teraz miał, gryzłbym ją moją żądzą, wysysał, wchłaniał.. Musiałaby się zamienić na sto kobiet, ażeby wytrzymała moje pieszczoty... Nie, ja jej nie uszkodzę, nie dokuczę, będę ją pielęgnował, jak ranę, będę się jej bał, tylko niech raz przy mnie stanie.

Zmik.

Stanie... Arjos jest także trochę czarodziejem i zapewne psuje moje zaklęcia za pomocą przyjaznych mu duchów, ale ja go pokonam.

Alrun.

Nie wiem, dlaczego jej tak pożądam: czy dlatego, że mi się podobała, jak żadna, czy że uciekła wtedy, kiedy ją mieć mogłem? Od tego czasu krew mi się w żyłach gotuje warem, a gdy pomyślę, ja wódz, najwaleczniejszy z walecznych, że ją uprowadził i zużywa jakiś mizerny Arjos, którego przerzuciłbym przez dziesięć szałasów... Nie, nie będę o tem myślał, bo zaraz choroba we mnie się lęże. Ach, ty podłe słońce, ty jedno ich widzisz, ty jedno wiesz, gdzie oni są, a milczysz! Znowu mi niedobrze... Odgaduję, czego mi brak. Wczoraj w południe zauważyłem, że mój cień gdzieś znikł — musiał mi go ukraść jakiś zły duch, życzliwy Arjosowi.

Zmik.

Łatwo mu go odbiorę i oddam ci.

Alrun

Zaraz będę zdrów.

Zbliżył się lękliwie posłaniec. Alrun, spostrzegłszy go, zerwał się i zapytał:

No i cóż?

(D. c. n.)

wyniknie, niedaleka przyszłość pokaże zapewne.

Ważnym faktem w tutejszem życiu, który przybrał już formę konkretną, jest założenie we Lwowie Towarzystwa sztuk pięknych; dotychczas samodzielnie nie istniało, lecz tylko jako filia krakowskiego. Ale i ta filia była przez długi czas prawie nieczynną z tej racyi, że Lwów należy do miast najmniej artystycznie wykształconych — nie było więc ani tych, którzy oglądać obrazy pragną, ani tych, którzyby je wystawiać chcieli. Brakło przeto Lwowowi zupełnie kolonii artystów. Zaczęła się ona wytwarzać bardzo powoli i teraz mieszka tu stale niewielka grupa, która się skupiła koło samodzielnego zupełnie Tow. sztuk pięknych i jego salonu. Towarzystwo to zorganizowało się od kilku tygodni zaledwie, a na czele jego stoją ludzie bardzo wytrawni, biegli i energiczni. Dyrektorem artystycznym został Wł. Łoziński, gruntowny znawca sztuki, administracyjnym zaś — Wł. Bełza, któremu zgodnie przyznają wszyscy największą zasługę zerwania z zasadą centralizowania towarzystw i utworzenie odrębnego ogniska dla sztuki polskiej we Lwowie. Jako kierownik dawnej filii, cieszył się zaufaniem i szacunkiem całej kolonii artystycznej, a dzięki temu udało mu się zorganizować Towarzystwo lwowskie. Obecnie grupa artystów, stale tutaj zamieszkałych, jest dość liczną. Z pośród rzeźbiarzy ma we Lwowie swoją siedzibę znany i bardzo utalentowany artysta. Barącz, z malarzy mieszkają: Makarewicz, Sozański, Tad. Rybkowski, Kotowski, Augustynowicz, bracia Harasimowicze, Wisłocka, Wein, Młodnicki, wreszcie mistrz Jan Styka, który utrzymuje poważnie, że do niedawna było dwóch mistrzów Janów: jeden w Krakowie — Matejko, a drugi we Lwowie — Styka, nie dodaje tylko, że mistrz Jan z Krakowa nie brał w dzierżawę patryotyzmu i nie był przedsiębiorcą do malowania panoram. Obecnie na pociechę ludzkości pozostał tylko we Lwowie mistrz Jan, który, jeżeli już o mistrzowstwie jego może być mowa na seryo, jest mistrzem w reklamowaniu się i wynajdowaniu korzystnych dla siebie przedsiębiorstw. Najnowszem jego dziełem jest portret Ludwika Kubali, byłego prezesa Koła literacko-artystycznego we Lwowie. Fachowi krytycy utrzymują, że posiada on bardzo małą wartość artystyczną, jak wszystkie obrazy Styki. Portret Kubali grzeszy brakiem plastyki, co jest kardynalną wadą mistrza Jana, jest sztywny, wyraz oczu niepochwycony i nieoddany należycie, koloryt twarzy nienaturalny, co wszystko sprawia, że jakkolwiek pod względem rysunku nic mu zarzucić nie można, portret Kubali do udatnych zaliczyć trudno. Ujemne wrażenie potęguje się jeszcze tem, że mistrz posadził szanownego profesora tak fatalnie, iż z daleka odbiera się wrażenie, jak gdyby siedział, nie dotykając fotelu, na zaostrzonym szpicu.

W tych dniach odbyły się u nas tak zwane uroczystości Bogusławskiego, których celem było uczcić pamięć pobytu we Lwowie twórcy sceny polskiej z przed stu laty. Zapewno, niejeden z czytelników *Prawdy* dowie się o szczegółach tych uroczystości z dzienników; mogę jednak zaręczyć, że w tych sprawozdaniach od początku do końca niema ani słówka prawdy. Jest to objawem tak charakterystycznym i ciekawym, że z obowiązku uczciwego publicysty mówić o tej uroczystości muszę. Przedewszystkiem wspomnieć należy, że miała ona charakter wyłącznie pamiątkowego obchodu w zakresie teatru i sztuki dramatycznej. Podzielono ją niejako na dwa działy: raut w Kole literacko-artystycznem i przedstawienie w teatrze. W jednem i drugiem było zupełne niepowodzenie. W niczem to nie ubliża ani pamięci i zasługom Bogusławskiego, ani gromadce gości, na uroczystość przybyłych; daje tylko niezmiernie smutne świadectwo apatyi, senności i niedołęztwa umysłowego tego skupienia niby-ludzi, które się nazywa społeczeństwem lwowskiem, a pozwala wnosić równocześnie, że Koło liter.-artyst. i dyrekcya teatru nie są także bez winy.

Zacznę od Koła. Raut nie udał się — kompromitująco. Na 130 tysięcy mieszkańców było 30 kobiet i 15 mężczyzn, wyłącznie prawie ze świata teatralnego. Wobec tej garstki, która, prawdę mówiąc, zgromadziła się nie tyle dla uczczenia pamięci zmarłego pisarza, ile dla złożenia uszanowania obecnemu „znakomitemu krytykowi teatralnemu“; odśpiewano kantatę Elsnera. Była ona najlepszą rzeczą z całej „uroczystości,“ bo przynajmniej dała pojęcie o charakterze dawnej muzyki, przypominając tym albo owym ustępem Mozarta lub Bacha. Potem nastąpił odczyt Pepłowskiego (o pobycie u Bogusławskiego we Lwowie), który wszystkich uśpił. Pomimo to wszystko odczyt, jako artykuł, był ciekawy, bo dawał pojęcie o stanie teatru, a nawet sztuki w owe czasy, ale, przeładowany faktami, za mało uwydatnił osobistość Bogusławskiego jako pisarza, aktora i dyrektora, a wygłoszony monotonnie, sucho, zmroził odrazu i tę nieliczną gromadkę, która przyszła wysłuchać różnych popisów. Próby na tem polu nie zasługują na żadną uwagę; były to popisy dobrej woli lub próżności, o których mówić nie będę.

Gorzej było z teatrem. Pięknego wiersza J. Kasprowicza, w którym poeta przedstawił znaczenie Wojciecha Bogusławskiego, ani też bardzo dobrze odegranej sztuki *Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale*, nie było komu słuchać. Teatr literalnie świecił pustkami.

W Kole nie było prawie nikogo ze świata uczonego i literackiego, a jednak mamy tutaj i uczonych wybitnych i literatów nie pośledniej miary, jakoteż garstkę ludzi, którzy się literaturą i nauką interesują. W obecnej chwili mamy wielki zjazd we Lwowie z powodu sejmu; z posłów jednak nie było nikogo; z artystów miejscowych, oprócz mistrza Jana Styki—także nikogo; z dziennikarzy również. Nasuwa się przeto pytanie: czemże w istocie jest to *Koło literacko-artystyczne*, od którego systematycznie uciekają wszyscy literaci, uczeni i artyści, które w chwili stanowczej kompromituje każdą podjętą przez siebie pracę? Dlaczego ono nazywa się *literacko-artystycznem*? Dlaczego pod godłem ludzi pracujących na polu literatury i sztuki gromadzą się inne jakieś żywioły, nadużywające i pospolitujące literaturę i sztukę? Jeżeli to jest tylko Konfraternia literacka, na wzór warszawskiego bractwa, do którego wpisywali się ludzie umiejący czytać i pisać—niechże się nazwie „klubem miłośników literatury i sztuki,“ a wtenczas rzecz będzie postawiona jasno i inną miarę będą przykładać do Koła, jako zgromadzenia literatów, uczonych i artystów, a inną do „klubu miłośników literatury.“ Z Koła literackiego nie należy robić przybytku podkasałej muzy, miejsca dla ćwiczeń w skakaniu młodych panów i panienek, bo do tego nie potrzeba ani literatury, ani Koła; wytańczyć się można w pierwszym lepszym klubie, a „sztuki“ tak zwane „prestidigitatorskie“ można oglądać w każdej budzie, gdzie szynkują piwo i sprzedają kiełbaski. Dzięki przeto nietaktowi Koła, dzięki niezrozumieniu śród jego kierowników poważnych zadań i celów tej instytucyi, straciła ona kredyt moralny, zaufanie publiczności wykształconej i rozumnej, usunęła ze swego grona najwybitniejszych przedstawicieli literatury, nauki i sztuki, a teraz—zbiera owoce, poniżając i ośmieszając tych, których godła nadużywa w tytule. Doszliśmy nareszcie do tego, że każda czynność, podjęta przez Koło, z góry jest potępioną, bo wiadomo doskonale, że kierownicy jego z literaturą i sztuką najmniej mają do czynienia, żadnej przeto ani fachowej, ani moralnej gwarancyi nie dają. Świadectwem tego jest ostatnia uroczystość. Obecnie tak rzeczy stoją, że najlepiej zorganizowana reklama przestała być pułapką, bo wszyscy wiedzą doskonale, że tę lub ową „uroczystość,“ raut lub coś podobnego, urządzają bardzo nieliczni członkowie, dla dogodzenia własnej próżności i popularności.

Cla.

PLAMY NA SŁOŃCU.

II.

II. Siły robocze folwarku.

To składają się: ze służby folwarcznej, inwentarza roboczego, wołów i koni, wreszcie machin i narzędzi rolniczych.

a) Służba folwarczna.

Główną siłę stanowią parobcy (ordynaryusze), czeladź dworska na stole i najemnicy. Ziemianin-rolnik dobiera sobie na folwarku ekonoma, karbowego, polowego, czasem pisarza, gdy jest las, gajowego— jako ogniwa, które go mają łączyć z masą roboczą. P. Pług jednak stale żąda, aby te ogniwa działały tylko w imię jego interesów; patronów zaś czarnej tej masy roboczej nie znosi w swem otoczeniu i bez litości wypędza z granic swojego państewka.

Od wszystkich tych pomocników p. Pług znajomości rzeczy wymaga nader mało, lecz za to żąda niesłychanie wiele energii, któraby zdołała zawsze i we wszystkiem, wycisnąć z masy rolniczej największą sumę pracy. Nie zdarzyło nam się widzieć lub słyszeć, aby którykolwiek z tych pomocników p. Pługa był skarcony za złe i nikczemne obchodzenie się ze służbą folwarczną, ale za to wiemy dowodnie, że wielu z nich zawdzięcza swoje ugruntowane stanowisko najbardziej silnej pięści i doskonale „wyparzonej gębie.“ P. Pług przy pomocy ekonoma, karbowego i t. p. z jednej strony, a parobcy, czeladź i najemnicy z drugiej, to zawsze i wszędzie dwa przeciwne obozy, z których jeden siłą pięści kija i harapnika stara się popychać siłę roboczą naprzód, a ta wszelkimi wybiegami usiłuje jaknajmniej i najniekorzystniej pracować.

Wynagrodzenie ordynaryusza w Królestwie Polskiem, z wyjątkiem nielicznych okolic podmiejskich i fabrycznych, wszędzie jest bardzo nizkie i najzupełniej niewystarczające. Wynosi ono: gotówką 15—18 rs. rocznie, 10—12 korcy ordynaryi, mieszkanie z opałem, utrzymanie jednej krowy i 100 kw. prętów roli pod kartofle. Spróbujmyż tedy na podstawie tych cyfr ułożyć budżet życiowy parobka wiejskiego.

Liczmy, że z tego dochodu parobek utrzymuje tylko siebie, żonę i jeszcze trzecią z rachunku kosztów dorosłą osobę, której miejsce zajmują małe dzieci lub starzec już niezdolny do pracy.

Dzieci od lat dziesięciu już mogą zarobić na swoje pożywienie.

Ordynarya otrzymywana ze dworu składa się zwykle: z 6 korcy żyta, 3 jęczmienia, 1 grochu, tu i owdzie dają po ½ korca prosa lub tatarki, albo po korcu owsa (?) i po pół korca pszenicy, choć ta ostatnia niemal nigdzie nie przeznacza się stale, lecz bywa dawaną jako wynagrodzenie wyjątkowych zasług przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocnemi. Cała ordynarya i prawie powszechnie bywa wydawaną nie w najlepszym gatunku, jakby sądzić należało, lecz w średnim; różnica leży w tem, że ordynaryusz otrzymuje korzec żyta wagi nie 230 f., jak żyd-kupiec,

ale tylko 200, jęczmienia nie 180, ale 150 itd. I p. Pług nigdy nie pomyśli o tem, że takie spełnianie zobowiązań nie należy do czynów *obywatelskich*, owszem uważa siebie za dobrodzieja, karmiącego zgłodniałą rzeszę. Rola pod kartofle daje się zawsze bez nawozu: parobek potrzebuje tych kartofli bardzo wiele i stokroć by wolał 30 korcy mniej smacznych, niż 20, które przeciętnie zbiera ze swoich 100 prętów z rzekomo lepszem ustosunkowaniem krochmalu i cząstek proteinowych.

Utrzymanie krowy bywa powszechnie bardzo liche: latem pastwisko leśne lub ugorowe, w zimie słoma ozima i jara. Na utrzymanie świni i okrasę jadła dla krowy, tu i owdzie daje się co tydzień trochę plew, o ile zapas ich jest znaczny; w większości gospodarstw parobcy kradną te plewy, o ile im się to udaje. Krowa czeladnika daje średnio nie więcej, niż kwartę mleka dziennie w rachunku całorocznym. Jak sobie radzi parobek przy podziale tych obfitych zasobów przez rok cały pomiędzy siebie, rodzinę, krowę i hodowanego prosiaka?

Żyta wypada na miesiąc 100 f., z tej liczby 10 f. odchodzi na miarkę dla młynarza i rozpylenie we młynie. (Dworskie młyny wodne i wiatraki tylko w niewielu folwarkach mielą ordynaryę służby). Z pozostałych 90 f. na barszcz codzienny czyli żur odchodzi 30 f., z reszty należałoby jeszcze wydzielić jakąś cząstkę dla karmionego prosiaka, ale to już jest niepodobieństwem; te 60 f. muszą być użyte na chleb i dają licząc 1/4 wagi „napieku"—75 f. chleba, czyli 2½ dziennie, a rodzina parobka z trzech osób złożona potrzebuje tego chleba 7 f., licząc 3 f. dla niego samego i po 2 dla dwóch pozostałych osób.

Parobek więc posiada prawie tylko 1/3 potrzebnego sobie chleba i dzięki temu ten czarny, ubogi kawał chleba, staje się zbytkownym kęsem w jego chacie, z którym gospodyni niezmiernie oględnie musi sobie poczynać! Czemże ten chleb zastąpić?

Parobcy wiejscy jedzą trzy razy dziennie: rano barszcz i tarte kartofle, w południe groch z kapustą lub krupnik z kaszą jęczmienną i wieczorem znowu barszcz z kawałkiem chleba, lub kartoflami.

Barszczem nazywa się woda ugotowana, silnie zazwyczaj posolona, zaprawiona ½ f. mąki razowej, i omaszczona odrobiną słoniny lub mleka. Grochu na osobę trzeba brać 1/4 kwarty, kaszy jakiejkolwiek ½ kwarty, kartofli ½ garnca.

Przy najwyższej oszczędności gospodyni, udaje się jej raz na trzy dni dawać groch, raz na dwa—kaszę, lecz i obok tego w każdych 12 dniach znajdą się dwa dni zawsze i bez grochu i bez kaszy. No, to już łata się jakoś, ale jak?

Z zebranych 20 korcy kartofli, 5 trzeba zostawić do posadzenia w roku przyszłym a 5 choć z płaczem ofiarować karmionemu prosiakowi. Pozostałe 10 korcy tylko przy jednorazowem użyciu codzień po 1½ garnca, mogą wystarczyć zaledwie na 110 dni, a co przez pozostałe 255? Znowu deficyt i to już bardzo znaczny.

Brakuje więc *zawsze* chleba, kaszy, grochu i kartofli. Mięso parobek widzi na swym stole nie więcej, niż trzy razy do roku, mianowicie podczas świąt.

Bywa to wieprzowina, otrzymana po zabiciu jednego, zwykle rocznego prosiaka przed Bożem Narodzeniem i drugiego na święta Wielkanocne.

Parobek nabywa na wiosnę jednego półrocznego t. zw. „chudźca," a w jesieni drugiego. Nadludzkiem usiłowaniem gospodyni, wykarmiają się one zbieranym chwastem, pomyjami i niewielką ilością parzonych kartofli. Po zabiciu obie sztuki dają przeciętnie 4—5 pudów ogólnej wagi, w której nigdy więcej, niż pud słoniny cienkiej nie bywa. W rachunku rocznym na każdy dzień wypada zaledwie 3 i pół łuta, które *muszą* wystarczyć przy trzykrotnie gotowanem bardzo nieposilnem jadle. Czy to obfitość, czy ponowny smutny deficyt?

A taż pensya w gotówce czy nie mogłaby służyć jako ratunek dla pokrycia braków? Bezwarunkowo—nie, bo tych pieniędzy również *nigdy* nie wystarcza na niezbędny zakup: butów, czapek, siermięgi, kożucha, perkalu płótna, barchanu, a nawet i soli, której włościanie zażywają wiele, a tylko tu i owdzie dwór dostarcza ją parobkom.

Jakże więc sobie radzi parobek dla pokrycia tych licznych niedoborów? Pracą swej żony, idącej na zarobki w czasie letnim. Żona ta musi: gotować strawę trzy razy dziennie, zbierać mozolnie chwast dla krowy i prosiaka, opierać i obszywać rodzinę i dwa razy dziennie nosić „dwojaki" z jadłem mężowi, często o parę wiorst gdzieś w polu pracującemu; zdawałoby się, że to dosyć, jeśli weźmiemy pod uwagę okresy brzemienności tej kobiety i zajęcie się małemi dziećmi.

Niewzruszona konieczność nie zna niemożności i żona parobka przeciętnie zarabia w ciągu letnich miesięcy 15—20 rubli i *tylko w ten sposób* budżet ich daje się zrównoważyć.

A teraz wyobraźmy sobie, co się dzieje z bytem takiej rodziny, jeśli mąż czy żona lubią zajrzeć do kieliszka. Odpowiedź łatwa: zręczniejsi ratują się kradzieżą we dworze, a niedołężni stają się powodem rychłego upadku rodziny i zostają żebrakami. I dlatego to nasi parobcy *nader rzadko* oddają się pijaństwu. P. Pługu, który często otwierasz po kilkanaście butelek wina dla sąsiadów—twoi parobcy, tylko do ostateczności doprowadzeni, *kradną i piją*.

Albo wyobraźmy sobie tę samą rodzinę, dotkniętą wypadkiem choroby przewlekłej lub śmierci. Felczer, lekarstwa, czasem znachorki, na długi czas wprowadzają zupełny rozstrój w takim, jak powyżej opisaliśmy, budżecie, a śmierć—często bywa powodem nędzy.

Trumna parobka nie kosztuje, bo dwór zwykle daje deski, a kumotrowie zbić je pomagają; ale są dwa inne wydatki: pochówek i poczęstunek. Za pierwszy parobek opłacić musi: księdza za spotkanie i poświęcenie ciała (dziesięć minut) rubla, temuż za słowa chrześciańskie nad grobem trzy ruble (jeśli się nędzarz opiera, to mu mówią, że *chce* swoją żonę, ojca lub dziecię jak *bydlę* w ziemi pogrzebać), organiście rubla i dziadowi za wykopanie jamy 50 kop.; dla drugiego za dwa garnce wódki 2 rs. 50 kop., kiełbasy, bułki itd. jeszcze za dwa ruble. Takim sposobem biedak, dla którego każdy grosz ma ściśle określone przeznaczenie, jest zmuszony, dzięki tradycyi, obyczajowi i złej woli otoczenia, wydać odrazu dziesięć rubli, które rzadziej otrzymuje ze dworu na rachunek pensyi i ordynaryi, a częściej pożycza od żyda lub szynkarza. Jakimi środkami opłaca ten dług?—częściej głodzeniem siebie i rodziny pozostałej, lub rzadziej—kradzieżą, naturalnie we dworze.

(D. n.)

Napoleon Rouba.

DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Warunki młodzieży, kształcącej się we wszystkich zakładach naukowych średnich i wyższych, są tak powszechnie znane, że kreślić tkliwe obrazki dla rozrzewnienia ludzi miłosiernych, byłoby rzeczą zbyteczną. Pisano już u nas wiele o przeciążeniu pracą i niedostatku; dotąd wszakże słowa te w znacznej mierze przebiegały koło uszu tych, którzy jaką taką ulgę mogliby przynieść. Jeżeli wszakże pomimo to nie stygnie zapał do wiedzy, jeżeli po długich wysiłkach i borykaniu się z nędzą, wychodzą z uczelni ludzie niestrawieni twardymi warunkami bytu, chętni do pracy produkcyjnej i pożyteczni dla ogółu, to tylko trzeba podziwiać siłę niespożytą młodych organizmów w tym okresie, gdy bezkarnie nie można szafować energii i gdy ją należy jeszcze podsycać. O tem wszystkiem wiemy, ale nikt jeszcze nie potrafił obliczyć, ile społeczeństwo traci na tem długoletniem szamotaniu się młodzieży, nikt w cyfrach nie przedstawił zmarnowanego bogactwa duchowego i materyalnego. Jeżeli obok jednostek dzielnych widzimy automaty słabo pożyteczne, lub nawet całkiem jałowe; jeżeli mamy ludzi niedołężnych i nieudolnych do pracy owocnej, z przytępionemi zdolnościami i umysłem, pomimo patentów w kieszeni, jeżeli wreszcie uderzą nas te rzesze wykolejonych, „niedouczonych," o których się mówi: „zdolny, lecz zmarnowany"—to szukajmy źródła tych zjawisk smutnych w ciężkich warunkach materyalnych okresu szkolnego, które zmuszają do poświęcania dużo czasu na pracę zarobkową, wówczas, gdy go trzeba oddać nauce, gdy siły, jako kapitał zakładowy, nie powinny być nadszarpywane.

Ci, którym los się uśmiechnął a karyera otworzyła szerokie wrota, dobrobyt zaś pozwolił pokrzepić organizm z natury silny i odporny—uderzają w strunę Smilesowską, głoszą zasady samopomocy i hartu: „Ja, panie dobrodzieju, chodziłem bez butów, jadałem kiszkę krakowską, biegałem na korepetycye z Mostowej pod rogatki mokotowskie i oto twardej doli zawdzięczam swoje stanowisko i majątek." W tej piosence moralizatorskiej, zazwyczaj pomijane bywają zwrotki najciekawsze, najbardziej budujące, które owi śpiewacy tylko w skrytości ducha nucą. Treść ich da się zamknąć w następującem przykazaniu: „Wyrabiaj giętkość karku i elastyczność nóg, ażeby potem zesztywniały dla tych, po których stąpać będziesz. Zabij w sobie wszelkie zarodki myśli samodzielnej, podrzyj sumienie swoje na włókna i spleć z nich sznur, po którym mógł byś się wspiąć na takie wyżyny, gdzie już nie dochodzą głosy, przypominające o potrzebach twoich bliźnich, chociaż na ich grzbietach nabrałeś wprawy akrobaty." Takich pieszczochów losu jest u nas względnie dużo, ale tych, jako wcale nie pożytecznych dla społeczeństwa, tylko do rubryki strat, a nie zysków wciągnąć można. Będą oni zawsze wyrastać, bez względu czy położenie materyalne młodzieży poprawi się, czy pogorszy. Chodzi nam tutaj o te rzesze wychowańców szkolnych, których energia i siła w uciążliwej walce z biedą ściera się na proch i ginie bezowocnie dla ogółu.

Może w przyszłości chociaż cząstka tych sił da się uratować, dzięki nowym instytucyom, którym prawo daje możność istnienia, a społeczeństwo powinno dostarczyć środków do rozwoju. Oto świeżo organ urzędowy ogłosił ustawę normalną „Towarzystw pomocy dla uczącej się młodzieży." Przepisy te pozwalają zawiązywać stowarzyszenia prywatne w miastach, posiadających jeden lub kilka zakładów naukowych. W zakres pomocy wchodzi: wnoszenie opłaty za naukę, bezpłatne udzielanie książek i wszelkich innych przedmiotów niezbędnych, zatwierdzonych przez ministeryum oświaty; dostarczanie odzieży, pożywienia, mieszkania, pomocy lekarskiej itd.; w razach wyjątkowych ratowanie zapomogą pieniężną. Liczba członków honorowych i rzeczywistych nie jest ograniczona; mogą brać udział w Towarzystwie wszystkie osoby pełnoletnie obojej płci, z wyjątkiem kształcących się w zakładach naukowych, szeregowców w czynnej służbie, junkrów tudzież ludzi, pozbawionych pewnych praw przez sądy.

Fundusze tworzą się z jednorazowych i różnych składek członków, z ofiar w pieniądzach, książkach, odzieży i innych przedmiotach od członków i osób postronnych; wreszcie ze środków, zbieranych przez urządzanie koncertów, widowisk, bazarów, odczytów, balów itd. Zarząd wybiera samo Towarzystwo ze swoich członków tudzież z przedstawicieli zakładów naukowych.

Już tych kilka szczegółów ustawy wystarcza dla przedstawienia sobie zakresu działalności takich instytucyj. Dotychczasowa pomoc, niemal jałmużnicza, rozproszona i dorywcza, skupi się w tych ogniskach z zakrojem dobroczynnym, będzie miała zorganizowany plan stałej działalności. Wogóle zasadniczym celem tych towarzystw jest danie znośnych warunków bytu młodzieży w okresie kształcenia się, a więc zaoszczędzanie sił dla lepszego przyswojenia wiedzy i produkcyjniejszej pracy w przyszłości. Przyznać trzeba, że w braku innej szerokiej organizacyi, ułatwiającej kształcenie młodzieży, powyższe instytucye, należycie w czyn wprowadzone, mogą przynieść znaczny pożytek. Ustawa daje tylko ogólne wskazówki; rzeczą zaś ludzi, tworzących takie stowarzyszenie, powinno być możliwie największe rozgałęzienie pomocy w ten sposób, iżby żaden uczeń ubogi nie był pozbawiony środków ułatwienia nauki bez nadmiernego nadszarpywania sił. Normalność ustawy stwarza tę wielką dogodność—unikanie mozolnej i długiej drogi zabiegów o prawo zakładania stowarzyszeń; niektóre zaś paragrafy pozwalają rozszerzać działalność według środków i siły takiej instytucyi tudzież zamożności jej członków. Wolno zatem otwierać bezpłatne księgarnie z podręcznikami szkolnymi, jadłodajnie, tanie lub bezpłatne mieszkania itd.

Pierwsze z takich towarzystw powstaną już wkrótce w Warszawie i Radomiu. W innych miastach stworzenie ich zależeć będzie od mniejszej lub większej ruchliwości ogółu inteligentnego i od stopnia odczuwania tak ważnej potrzeby. Urządzenia powyższe, uważając za jeden ze szczebli ułatwień w organizacyi szkolnictwa, starajmy się gorąco popierać, pocieszając się nadzieją, że z czasem nauka będzie źródłem, dla ogółu tak przystępnem, jak strumień, z którego każdy przechodzeń może zaczerpnąć wody ile mu się podoba.

Drog.

PAMIĘTNIK.

Przepowiednie meteorologiczne.

Obserwatoryum Pólkowskie uprzedziło nas na kilka dni, że nastąpią mrozy z wiatrem północno-wschodnim. Przepowiednia sprawdziła się w zupełności. Nie wspominamy o niej ze względu na stan powietrza, bo mrozy i ostre wiatry są w lutym całkiem naturalne, ale ze względu na ścisłość przewidzeń meteorologicznych. Obserwatoryum Pólkowskie bardzo często przysyła nam przepowiednie, które się sprawdzają i które, zwłaszcza w lecie, dla rolników mogą mieć bardzo ważne znaczenie. Jak wiadomo, przed kilku laty jeden z domorosłych astronomo-meteorologów przewidywał zmiany atmosferyczne z całą stanowczością na trzy miesiące i wykreślał nawet ich linię w osobnym biuletynie, dołączanym do pisma rolniczego. Kto zadał sobie trud szczegółowego sprawdzenia tych wróżb, przekonywał się dowodnie, jak nieraz srodze drwiła z nich rzeczywistość i jak ich z palca wyssać nie można. W większości wypadków wtedy, kiedy miał padać deszcz, panowała susza, a kiedy miały być skwary, rozpoczynała się słota. Była to gra w domysły — szkoda tylko, że bałamucąca ludzi łatwowiernych — która musiała zawodzić. Przepowiednie bowiem meteorologiczne przy dzisiejszych środkach nauki nie mogą sięgać daleko, nawet w przyszłość paru miesięcy, lecz muszą się obracać zaledwie w zakresie paru dni. Ale i tak skromnej miary posiadają dużą wartość dla wszelkiej pracy, zależnej od zmian atmosfery; ponieważ jednak obserwacye są ograniczone nietylko co do czasu, ale i co do miejsca, przynoszą więc korzyść tem większą, im gęściej są rozsiane. Zwłaszcza Ameryka północna posiada je już w wielkiej liczbie, tam też oddają one największe usługi. Sam Pólkow (pod Petersburgiem) w tak olbrzymiem państwie nie może podołać zadaniu.

Surowica.

W szpitalach warszawskich—a zapewne i w praktyce prywatnej — rozpoczęto już szczepienie surowicy antidyfterytycznej. Obok sprowadzonej z Niemiec (od Behringa) stosowana będzie nadesłana przez dr. Bujwida z Krakowa, podczas gdy dr. Palmirski w tutejszej pracowni bakteryologicznej przygotowywa miejscową. Poczytujemy to za wielką zasługę temu ostatniemu i widzimy w tem nowy dowód tej ścisłości badań, jaką odznaczają się wszystkie jego prace, że on nie ulega gorączce pośpiechu i przeciąga wypuszczenie w świat swego produktu aż do chwili, gdy go przeprowadzi przez należytą liczbę umiejętnych doświadczeń. Wzgląd sumienności i ostrożności, naszem zdaniem, posiada tu szczególną wagę. Naprzód sam środek nie jest jeszcze należycie wypróbowany; powtóre, trudność otrzymania do szczepień koni zupełnie zdrowych (takie są drogie i niechętnie zbywane) nakazuje wielką oględność w zabezpieczeniu surowicy od domieszek niepożądanych. Że to jest możliwe, widzimy z doniesienia gazety *Now. Wremia*, które twierdzi, że prof. Wysocki z Kijowa wykrył w surowicy, sprowadzonej od Behringa, znaczne zanieczyszczenie szkodliwymi drobnoustrojami. Leży to w porządku rzeczy, że gdy zapotrzebowanie tego produktu tak nagle wzrosło (niektóre ziemstwa kupiły za 1,000 rs.), zaczęto go wytwarzać pospiesznie, a skutkiem bądź nieuwagi w robocie, bądź skutkiem użycia niezdrowych koni, nie posiada on warunków pożądanej czystości. Otóż mamy nadzieję, że pracownia dr. Bujwida, prowadzona obecnie przez dr. Palmirskiego, da nam najwyższe pod tym względem rękojmie.

Nastręcza nam się w tej sprawie jeszcze jedna uwaga. Niektóre dzienniki zgodnem echem głosu jakiegoś niecierpliwca wyraziły żal, że oddział w szpitalu Dzieciątka Jezus, zaopatrzony w surowicę, nie posiada chorych, nie może przeto rozpocząć doświadczeń. Dziwny kłopot i jeszcze dziwniejszy smutek! Poczekajcie parę dni lub tygodni, a chorzy się znajdą, bo dyfteryt jest u nas stałym i zwykle strasznym gościem. Przyjdą czasy, w których zbraknie i surowicy, i łóżek w szpitalach dla nieszczęśliwych dzieci, dotkniętych tą zabójczą chorobą. Na to mamy tyle mieszkań w wilgotnych suterenach i w komórkach sąsiadujących ze śmietnikami, ażeby mu dostarczały błonicy.

Gorycz w słodyczy.

Coś się popsuło w państwie... słodkiego produktu i jeszcze słodszych dywidend. Syndykat cukrowników, który był bodaj czy nie pierwszą zmową wytwórców przeciw spożywcom i który stanowił przedmiot tęsknych westchnień dla wszystkich, pragnących sztucznie utrzymać ceny swych towarów na pewnym poziomie, ten syndykat zaczyna się rozprzęgać. Wi[illegible]mo, że nie wszystkie cukrownie przy[illegible]piły do konwencyi i zwłaszcza mniejsze, nie dopełniając jej głównego warunku (wywożenia za granicę przewyżki po nad pewną z góry oznaczoną miarę) sprzedawały na rynkach wewnętrznych całą ilość wyrobionego produktu i w ten sposób korzystały z cen, wyszrubowanych kosztem ofiar przez współzawodników. Ci odszczepieńcy naprzód zepsuli syndykatowi dużo krwi; teraz zaczęli ich naśladować właśni jego członkowie, którzy również nie zachowali wspomnianego wyżej warunku i nie wywieźli zastrzeżonego nadmiaru za granicę. Rozumie się zdradzeni uczestnicy nie mogli puścić płazem takiego wiarołomstwa i postanowili ukarać je na drodze procesów. Ale gdyby nawet wygrali sprawę w sądzie, przegrają — w interesie. Prawdopodobnie bowiem albo zdrajcy odpadną od stowarzyszenia i pomnożą zastęp dysydentów, wyciągających z ognia kasztany cudzemi rękami, albo syndykat będzie musiał się rozwiązać. W tym ostatnim wypadku dałby on nam praktyczną lekcyę gospodarstwa społecznego, wykazawszy nietrwałość tego rodzaju związków. Bo jeżeli zmowa tak dojrzałych ekonomicznie i umysłowo żywiołów, jakimi są cukrownicy, nie może ostać się długo śród burz i wichrów współzawodnictwa, to cóż dopiero mówić o licznym i niezaradnym drobiazgu z innych dziedzin produkcyi, który chce lub już zaczął naśladować mistrzów i potentatów? Zaznaczając wszakże znikomość tego dobra doczesnego, nie myślimy głosić jego zagłady. Bynajmniej! Syndykaty prędko nie zginą, owszem powstawać będą coraz częściej, tylko nigdy nie zapewnią sobie dłuższej trwałości. Będą ciągle umierały i zmartwychwstały, będą rodzajem feniksów ekonomicznych, odradzających się z popiołów. I cukrownicy więc, jeśli nawet skona, to znowu odżyje.

Czynsz w zbożu.

Słowo ujawnia ciekawy fakt, który doprawdy jest godniejszym uwagi, niż wysiłki śpiewacze panny Borghi lub wyścigi na łyżwach. Właściciel rozległych dóbr, p. Jan Brzozowski z Popieluch zmienił zasadę pobierania czynszu od swoich dzierżawców, którzy odtąd zamiast pieniędzmi płacić mu będą „tenutę" zbożem, a raczej jego wartością rynkową. Zmiana ta — jak zapewnia zarząd majątków — wywołana została spadkiem cen zboża, uniemożliwiającym zachowanie dotychczasowej opłaty (od rs. 4 k. 75 do 6 k. 50 za mórg), oraz względami moralnymi, gdyż coroczna „bonifikata" z jednej strony upokarza dzierżawcę, który o nią musi prosić, z drugiej przyzwyczaja go do niespełniania zaciągniętych zobowiązań. Nadto wobec konieczności ciągłych ustępstw właściciel nie wie nigdy, jakiego dochodu może się spodziewać. Innemi słowy, p. Brzozowski powiedział sobie i tak:—Wobec teraźniejszych cen zboża dzierżawcy nie mogą płacić dawnego czynszu, gdyż nie zdołają go wydobyć z arendowanej ziemi. Pozostaje mi przeto albo corocznie darowywać im pewne kwoty i obciążać się brzemieniem chronicznej z ich strony żebraniny, albo utracić wszystkich. Gdybym zniżył stopę czynszową, straciłbym na tem w wypadku podwyższenia się cen zboża, który jest możliwym; przywracając zaś dawną skalę, naraziłbym się na skargi i wyrzuty. Wolę przeto wybrać drogę pewniejszą, która mi zmniejszy dochód, lecz go ubezpieczy nietylko w warunkach obecnych, ale i w pomyślniejszych, skoro zboże zdrożeje. Będę więc obliczał „tenutę" według cen rynku odeskiego. Jeżeli tam pud pszenicy kosztuje 75 k., a dzierżawca płaci 6 rs. za mórg, dzielę 600 kop. przez 75 kop. i wypadnie mi 8 pudów pszenicy jako czynsz. Ponieważ zaś nie mogę i nie chcę handlować pszenicą, dzierżawca sam ją sprzeda po cenie rynkowej i mnie odda gotówkę.

Naiwność chyba zdolna byłaby w tym pomyśle dostrzedz filantropię. Jest on tylko wyrazem poddania się konieczności i rozumnego ratowania własnego interesu. Obniżenie się renty gruntowej skutkiem wielkiego spadku cen zboża jest faktem, cóż więc innego pozostaje właścicielom ziemi, jak uwzględnić ten fakt w stosunkach dzierżawnych?

Tanie domy.

P. oberpolicmajster m. Warszawy przystąpił do zorganizowania Towarzystwa budowy za miastem tanich domów, które z czasem będą przechodziły na własność lokatorów. Warunki spłaty mają być nadzwyczaj dogodne, mianowicie w postaci umorzenia należności za pomocą komornego. Jest to więc zawiązek tych urządzeń, które pod nazwą szerokiej filantropii zagranica dawno wprowadziła na wielką skalę, co dało powód humanistom i ekonomistom do osobnych dzieł i studyów. U nas nietylko pisano o tem dużo *), ale nawet próbowano urządzenia zagraniczne w czynie zaszczepić. Mianowicie jeszcze w r. 1862 zawiązała się spółka budowy domów dla rzemieślników z udziałem 27 osób, z których każda wniosła po 3,000 rs., następnie w r. 1864 jeszcze po 450 rs. Tym sposobem kapitał urósł do 93,150 rs. (*maximum* funduszu oznaczono na 150,000 rs.). Spółka owa przy rogu ulic Czerniakowskiej i Szarej nabyła obszerny plac i wybudowała dwa domy duże (w latach 1864 i 1888), nadto również na własnym placu dom przy ul. Pańskiej, wreszcie przy ul. Siennej. Tym sposobem, mając trzy domy i cztery place, osiągała przeciętnie 100 rs. dochodu rocznego z udziału. Ściśle atoli trzymanie się skali kapitału zakładowego, tudzież brak odpowiedniej administracyi, zawiodły wszelkie oczekiwania. W domach zapanowały takie same brudy, jak u wielu prywatnych właścicieli; lokatorowie nie otrzymali żadnych udogodnień; o odświeżaniu i odmalowywaniu izb mowy nawet niema. System pobierania komornego — miesięczny, chociaż uboga ludność robotnicza otrzymuje swą należność tygodniowo. Pierwotny zatem cel spółki zeszedł do poziomu najzwyczajniejszego przedsiębiorstwa spekulacyjnego. Od tego czasu nie widzieliśmy nowych usiłowań, któreodpowiadałyby choć w części działalności za granicą, gdzie, jak np. w Anglii, arystokracya i wogóle jednostki zamożne najwięcej zdziałały w tym zakresie i stworzyły wielkie towarzystwa budowy domów robotniczych, jak: „Metropolitan Association for improving the Dwellings of the industrions classes“ (założone w r. 1841), „Improwed industrial dwelling company“ (1863 r.), wreszcie dla warstw najuboższych: „Victoria Dwellings Company,“ „Catherine Buildings“ i ogromne towarzystwo „Artizans Labourer's and General Dwellings Company.“ Niepodobna nam tutaj wyliczać tej masy towarzystw, działających w Anglii, Francyi, Szwajcaryi, Holandyi, Belgii, Szwecyi, Norwegii, Danii, Austryi, Niemczech, Ameryce itd., tudzież wnikać w różne odcienie pobudek przedsiębiorców - filantropów. Dodajmy tylko, że w Filadelfii tą drogą przeszło 50,000 ludności ubogiej posiada dziś własne domki. Wydobywając z głębi filantropii własny interes, trzeba przedsiębiorcom przyznać nadzwyczajny spryt i obrotność, a właścicielom zakładów przemysłowych — zdolność dogodnymi dla nich środkami przykuwania do miejsca ludności robotniczej.

Z powodu trzynastolecia „Wszechświata.“

„Wszechświat,“ jedyne obecnie pismo polskie popularno-naukowe, poświęcone wyłącznie naukom przyrodniczym, rozpoczął czternasty rok istnienia, ma więc już za sobą przeszłość. W prospekcie do czytelników słusznie zaznacza, że starał się zawsze być przedstawicielem nauki, budzić dla niej cześć i zamiłowanie, szerzyć prawdziwe i dowiedzione, a zwalczać błędne lub wycofane z obiegu poglądy naukowe.

Każdy nieuprzedzony przyznać musi, że *Wszechświat*, o ile tylko stać na to było współpracowników, nie omijał żadnego wybitniejszego objawu z dziedziny badań przyrodniczych i starał się zapoznawać czytelników z wszystkiemi ważniejszemi odkryciami i teoryami naukowemi. Z artykułów na szczególne wyróżnienie zasługują te, które zawierają krytyczne przeglądy pewnych nowych kierunków w różnych dziedzinach przyrodoznawstwa, a prac takich, opartych na źródłowych dziełach, łamy trzynastu tomów *Wszechświata* zawierają bardzo wiele.

„Jedyną—atoli mówi redakcya—przeszkodą, która staje na zawadzie rozwojowi naszego pisma, jest zbyt słabe jego poparcie ze strony ogółu. Od początku wydawania *Wszechświata* nigdy nie liczyliśmy na korzyści materyalne z tego pisma, mieliśmy jednak zawsze niezachwianą nadzieję, że prędzej czy później, nadejdzie chwila, w której ono utrzymywać się zacznie o własnych siłach. W tej nadziei przetrwaliśmy chwile bardzo ciężkie, a rozstać się z nią nie możemy jeszcze i dzisiaj, kiedy ona tak stanowczo okazuje się tylko złudzeniem.“

Dlaczego jedyne u nas pismo przyrodnicze nie może się zupełnie o własnych utrzymać siłach, na to trudno odpowiedzieć. Bywały wprawdzie czasy, iż pisma i książki przyrodnicze, nawet pod wielu względami mniej starannie redagowane niż *Wszechświat*, cieszyły się u nas większą poczytnością, jak np. *Przyroda i przemysł* w pierwszych latach istnienia; ale to było wyłącznie prawie wynikiem kierunku, jaki u nas wtedy panował. Młoda wówczas szkoła t. z. pozytywistów, budząca się gorączka dla teoryi ewolucyi, wspaniało nowe teorye w biologii i fizyce, walka pomiędzy starymi a nowymi poglądami filozoficzno-przyrodniczymi, która wywoływała przewrót w ogólnych zapatrywaniach na całą przyrodę i na pochodzenie człowieka—oto przyczyna owego zapału, jaki wówczas u nas panował dla nauk przyrodniczych.

Nie przypuszczam przeto, aby zbyt małe poparcie, jakiem darzy *Wszechświat* obecnie nasz ogół czytający, było jedynie wynikiem nieumiejętnego redagowania tego pisma. Przeciwnie, musimy przyznać, że *Wszechświat* nie omija rzeczy, wiście żadnego prawie wybitniejszego odkrycia lub żadnej prawie ważniejszej *teoryi* naukowej, która *ogólniejszy* budzi interes i dostępną być może dla szerszego koła czytelników.

Mojem zdaniem, niesłusznie jednak *Wszechświat* czyni, jeśli omija pewne dziedziny wiedzy, bezpośrednio związane z naukami przyrodniczemi, a mogące interesować szersze sfery czytelników, jako to: psychologię, psychofizyologię, etnografię i socyologię porównawczą, działy wiedzy, należące dzisiaj do dziedziny biologii w szerokiem znaczeniu tego wyrazu. Niewychodzące już dziś, niestety, czasopismo przyrodnicze niemieckie, *Kosmos*, które cieszyło się nadzwyczajną poczytnością, nietylko za granicą, ale nawet poczęści i u nas, zawierało właśnie liczne bardzo prace ze wspomnianych dziedzin, które czyniły to pismo niezwykle sympatycznem i poczytnem. Za mało też daje *Wszechświat* artykułów z dziedziny historyi nauki i historyi filozofii przyrody, które to prace mogłyby również w wysokim stopniu ożywić to tak starannie zredagowane pismo.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Za wielki brak poczytuję *Wszechświatowi*, iż nie daje on dostatecznego pojęcia o ruchu przyrodniczo-naukowym w kraju. Mógłbym wymienić dziesiątki dzieł przyrodniczych, a mianowicie: przekładów podręczników naukowych, podręczników oryginalnych, dzieł popularno - naukowych i broszur, wreszcie rozpraw i książek specyalnych, zawierających nowe przyczynki do postępu wiedzy, o których to pracach *Wszechświat*, jedyny u nas organ popularno-przyrodniczy, nie tylko nie dał żadnego sprawozdania, ale nie uczynił nawet żadnej wzmianki, pomimo, iż wiem, że autorowie owych prac nadsyłali je do redakcyi, a niekiedy nawet w kilku egzemplarzach: dla redakcyi i dla niektórych współpracowników. Rzecz dziwna, że o wielu pracach polskich przyrodników dają sprawozdania lub wzmianki inne, niespecyalne pisma nasze, a *Wszechświat* zbywa je milczeniem, wspominając tylko o *niektórych* polskich wydawnictwach, a chętniej dając sprawozdania z obcych.

Uwagi, które tu uczyniliśmy, nie będą zapewne źle przyjęte przez redakcyę *Wszechświata*; są one bowiem wynikiem szczerej sympatyi autora słów niniejszych dla wspomnianego czasopisma. Ogół zaś nasz wykształcony ma obowiązek popierania *Wszechświata*, jako jedynego u nas organu przyrodniczo - popularnego, dla szerzenia znajomości prawd przyrody, bez których żaden człowiek nie może dziś rościć sobie prawa do prawdziwego wykształcenia.

Dr. H. T. Rozicki.

Do powyższych uwag dodamy ze swej strony jedną: *Wszechświat*, według nas, nie ma dostatecznej liczby czytelników dlatego, że nie uświadamia sobie jasno, do jakich przemawia. Dla jednych jest za uczony, dla drugich—za popularny. Jest on wydawnictwem niezdecydowanego charakteru i typu.

W DALI.

Łódź. Władza zamknęła fabrykę Naftuły Poznańskiego za niedbalstwo właściciela o bezpieczeństwo robotników przy pracy, niestosowanie się do ustawy budowlanej i rozporządzeń piotrkowskiej komisyi do spraw fabrycznych.— Dwa najludniejsze i najruchliwsze miasta w Królestwie Polskiem: Łódź i Warszawa, właściwie nie mają dotąd dogodnej komunikacyi bezpośredniej. Otóż podobno kolej Łódzka po porozumieniu z Wiedeńską, wprowadzi wkrótce pociąg specyalny, zatrzymujący się tylko w Koluszkach i Skierniewicach. Z Łodzi wychodzić będzie codziennie o 7 rano, z Warszawy o 7 wieczorem. Dzięki temu każdy, komu na czasie zależy, będzie mógł w ciągu godzin 12-tu załatwić swoje interesy i odbyć podróż w obie strony. Łatwo przewidzieć, jak dalece wzmoże się ruch osobowy, dzięki tak ważnemu udogodnieniu.—Wobec haniebnego niedbalstwa budowniczych miejscowych i gorączki spekulacyjnej śród właścicieli domów, budowanych na sprzedaż, sumienniejsi koledzy pierwszych, postanowili starać się o utworzenie specyalnej komisyi budowlanej (na wzór technicznej i rzemieślniczej) przy łódzkim oddziale Towarzystwa przemysłu i handlu. Otóż niedawno na posiedzeniu majstrów mularskich podano wniosek, ażeby każdy, kto życzy należeć do zgromadzenia majstrów, poddał się w przyszłości uprzedniemu egzaminowi, polegającemu na wypracowaniu projektu kosztorysu i faktycznem wzniesieniu budowli. Wniosek ten przyjęto jednogłośnie i ustanowiono komisyę egzaminacyjną.

Dąbrowa Górnicza. Mieszkańcy Sosnowic myślą o założeniu Towarzystwa pracowników handlowych i przemysłowych, według ustawy, przyjętej w Warszawie i Łodzi, ale rozszerzonej w tem, iż do instytucyi mają wstęp członkowie wszelkich wyznań. Stowarzyszenie takie istotnie jest bardzo potrzebne, gdyż w owem ognisku przemysłu i handlu skupiło się już sporo pracowników i ludzi, poszukujących pracy facho-

*) W osobnych pracach między innymi: Adolf Suligowski („Kwestya mieszkań“), Zenon Pietkiewicz („Nędza i żebractwo“).

wej. Z chwilą zaś, gdy osada stanowczo otrzyma przywileje miasta, rojowisko to jeszcze bardziej się rozszerzy, a jednocześnie wzrośnie poszukiwanie pracowników tudzież zaofiarowanie pracy.—Ruch towarowy na punktach pogranicznych wzmógł się w ostatnich czasach znacznie. W Sosnowicach wszystkie linie na stacyi są zajęte przez wagony towarowe. Z zagranicy przybywa dziennie około 150 wagonów, przeważnie z węglem, koksem, żelazem i maszynami. Prócz tego kopalnie miejscowe ładują przeszło 500 węglarek dziennie. Ruch wywozowy ożywił się trochę. Za granicę idzie trzoda chlewna, zboże, otręby, makuchy, drzewo itd.

Radom. Według zapewnień *Gazety* miejscowej, kasa pogrzebowa powstanie w tem mieście stanowczo.—Władza wyższa zatwierdziła budowę magazynów zbożowych na linnii. Powstaną one w Radomiu, Ostrowcu, Jędrzejowie i Miechowie. Budowa tych składów i organizacya agentur handlowych rozpocznie się z wiosną.—We wsi Tychów gminie Mirzec pow. iłżeckiego, na gruntach włościańskich znaleziono pokłady rudy żelaznej; w Gowarczowie, dobrach p. Felicyana Suryma, w pow. koneckim pokłady glinki ogniotrwałej, oraz we wsi Rogów pow. radomskiego na gruntach włościańskich pokłady rudy żelaznej.—Miejscowe Towarzystwo straży ochotniczej liczy już 17 lat istnienia. Członków czynnych ma 265. O ile ci wypełniają sumienne obowiązki, o tyle honorowi są niedbali. Zalegają oni w składkach tak dalece, że w ciągu ostatnich czterech lat nie wnieśli do kasy rs. 1,300. Dochód wraz z remanentem z r. 1893 wyniósł za rok ubiegły rs. 3,604, wydatki uczyniły rs. 2,167; pozostało na rok bieżący rs. 1,437.—Dn. 25 stycznia kolej Dąbrowska obchodziła dziesięciolecie swej czynności.

Siedlce. Dotąd istniały tylko dwie księgarnie, obecnie przybywa trzecia. Jeżeli to ma być oznaką wzrastających potrzeb umysłowych inteligencyi miejscowej—objaw ten zaliczyć należy do pocieszających; jeżeli zaś główną rolę gra tu żyłka konkurencyjna, próbowanie szczęścia na oślep, to rezultaty tego ruchu księgarskiego mogą być mniej pomyślne niż się wydaje.—Ze wzrostem miasta, jak wszędzie, rozwija się bardziej nędza. Dotychczas jednak niema tu zorganizowanej dobroczynności według modły utartej. Istnieją tylko: ochrona dla sierot i przytułek dla starców i kalek. Po za tem ludzie miłosierni bawią się w rozdawaniu jałmużny w tej błogiej nadziei, że środek taki uśpi nędzę. Skuteczniejszem byłoby lokarstwem nasennem Towarzystwo dobroczynności, którego założenie projektowano jeszcze przed kilku laty. Obecnie zaczynają o niem znowu przebąkiwać.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZJAZD MŁYNARSKI

II.

Petersburg, w styczniu.

Jakeśmy rzekli, głównym celem zjazdu jest stworzenie stałej organizacyi zbytu mąki za granicę; to zaś pociąga za sobą wiele innych urządzeń i środków, a przedewszystkiem — potrzebę gruntownej znajomości rynków obcych. Warunek ten wcześniej był przewidziany, a ponieważ wymaga on czasu i długiej pracy wstępnej, więc pomyślano o tem na parę lat przed zjazdem niniejszym. W ciągu ostatniego 25-lecia, od chwili wprowadzenia w Rosyi systemu walcowego do przeróbki pszenicy na mąkę, przemysł młynarski rozrósł się ogromnie, w wielu miejscach powstały duże młyny-fabryki. Ze wzrostem tych zakładów odpowiednio zwiększyła się ilość pszenicy, przerabianej na mąkę. W samych tylko gub. nadwołżańskich i środkowych co rok idzie do młynów 48,360,000 pudów pszenicy, przytem większość młynów nie zużywa całej pełni swych sił, których w razie potrzeby wystarczyłoby jeszcze na przerobienie 20 mil. pudów.

Potrzeby tej jednak w chwili obecnej niema, przeciwnie — nadprodukcya postawiła wytwórców w warunkach krytycznych. I oto pod wpływem takiego stanu rzeczy wybitniejsi młynarze zwrócili uwagę na rynki obce. Kilku z nich zebrało się na narady i uchwaliło zorganizowanie zjazdu tudzież wysłanie pełnomocnika za granicę dla zbadania tajemnic i potrzeb rynków tamtejszych. Jakoż ministeryum skarbu, uznając za ważny ten środek, delegowało swego członka, p. Szostaka a młynarze—pp. Żurawlowa i Leina. Na podstawie tych poszukiwań okazało się, iż najkorzystniejszymi rynkami dla mąki z Rosyi mogą być angielskie, belgijskie i holenderskie. W Anglii jednak, obok produktu miejscowego wyrobu stale zapanowała mąka amerykańska. Czy możliwa jest walka z tym potężnym współzawodnikiem? Stwierdzono, iż pod względem techniki młynarstwo ruskie nie ustępuje zagranicznemu, a nawet mąka ruska odznacza się większemi zaletami, niż angielska, belgijska i holenderska, ale to bynajmniej nie dowodzi, że produkt ten może skutecznie walczyć z gorszym na rynkach tamtejszych. Ta okoliczność, iż w wymienionych państwach przeważają niższe gatunki mąki, bynajmniej nie świadczy, iż tam nie potrafią wyrabiać lepszej, że zaś mają powodzenie gatunki lichsze, trzeba to tylko przypisać temu, iż masy spożywców uważają za zbyteczny chleb biały i czysty, gdy mogą mieć gorszy lecz tańszy. Prawda, amerykanie podbili rynki angielskie za pomocą mąki wyższych gatunków, których nie wyrabiano w Anglii, ale za to ofiarowywali swój produkt po cenach tańszych w stosunku do mąki angielskiej. Taką samą drogą mogłaby pójść Rosya. Szczególnie należałoby zwrócić uwagę na ustępstwa dla piekarzy, którzy zdecydują się na przyjęcie nowego gatunku mąki, ale tylko w takim razie, jeżeli będą mieli rękojmię stałej dostawy w pożądanej ilości. Trzeba wszakże, iżby mąka była i tańsza, i dawała więcej pieczywa. W danej chwili niepodobna na to liczyć, gdyż mąka ruska nie może być sprzedawana taniej, niż miejscowa lub amerykańska, bez znacznych strat. Najważniejszym atoli warunkiem, jakeśmy już zaznaczyli, powinna być stała dostawa, na co również w obecnej chwili trudno liczyć. Rosya — utrzymuje p. Szostak — nie mogłaby stale zalewać, jak amerykanie, nawet jednego tylko rynku londyńskiego i tem samem dawać właśnie żądaną rękojmię stałości, tę pewność, że towaru, używanego przez piekarzy, nie zabraknie i że zatem ceny jego nie będą podlegać zbyt silnym wahaniom.

Ważniejszym odbiorcą mąki ruskiej na rynkach angielskich byłby — co na pozór wydaje się dziwnem — młynarz. Tak jest! Nie zawsze bowiem korzystną bywa sprzedaż wyłącznie własnego wyrobu. Młynarze angielscy (zresztą bywa to i gdzieindziej) mieszają swoją mąkę z obcą, w ten sposób, jak to czynią handlarze zbożowi z ziarnem. I oto okoliczność ta wyjaśnia zagadkę, dlaczego Anglia, której produkcya młynarska wystarcza aż nadto na własne potrzeby, przyjmuje tak dużo mąki amerykanskiej. Wogóle trzeba liczyć na to, że nabywcami mąki ruskiej za granicą, z małymi wyjątkami, będą zawsze *młynarze*, którzy chętnie zapłacą o 2—3 szylingi drożej za najlepszy gatunek mąki pytlowanej ruskiej, niżeli za amerykańską „*Bakers*" ze względu na wyższą zaletę i czystość pierwszej. Oczywiście nie można marzyć o dyktowaniu cen, gdyż w takim razie towar musiałby długo leżeć na obcych składach i w końcu trzeba byłoby go sprzedawać za bezcen. Anglia wytwarza sama około 200 mil. pudów mąki, nadto pochłania amerykańskiej około 65 mil. pud., wobec tego na bardzo wielką ilość wywozu na rynki tamtejsze Rosya liczyć nie może i musi być bardzo oględną w cenach. Że Ameryka wywozi mąkę tanią, przypisać należy temu, iż sama spożywa wyłącznie lepsze gatunki, które ze względu na popyt wewnętrzny, cenione są wysoko. Gorsze, jako produkt poboczny przy wytwarzaniu gatunków przednich, idą za granicę, wartość zaś ich jest już poniekąd z góry pokryta dobremi cenami lepszych. I oto przyczyna, dlaczego Ameryka może swym tanim towarem zalewać rynki europejskie. Stany Zjednoczone mają dwie ceny: jednę dla mąki spożywanej w kraju, drugą—dla wywozowej. Jeżeliby zaś panowała jedna dla rynków wewnętrznych i zewnętrznych, wytwórcy amerykańscy nietylko nie mieliby zysku, lecz ponieśliby straty dotkliwe. Mogą oni dziś sprzedawać swoją mąkę bardzo tanio w Europie jeszcze i z tego względu, że młynarze w Anglii, Belgii i Holandyi znajdują, iż w wielu wypadkach jest dla nich korzystniej kupować mąkę, niż pszenicę amerykańską. Tym sposobem Stany Zjednoczone wytwarzają nienaturalny poziom cen mąki w Europie, na czem cierpi przedewszystkiem przemysł młynarski w Ameryce północnej.

Pomimo jednak iż Ameryka zalewa swą mąką rynki europejskie, produkcya nie zmniejsza się ani w Anglii, Belgii, ani Holandyi. Przyczynia się do tego taniość pszenicy, nie ustępującej amerykańskiej, tudzież dobre ceny na otręby i odpadki; następnie solidarna działalność młynarzy, wiedza, uświadomienie, uproszczenie za pomocą łączenia się kilku młynów w jedno przedsiębiorstwo, ograniczenie kosztów produkcyi do minimum itd. Wszystko to pozwala tym krajom współzawodniczyć z Ameryką, pomimo jej cen zabójczo niskich. Zdawałoby się, że wobec tego młynarze w Rosyi mogliby również walczyć o lepsze z wytwórcami zaoceanowymi na rynkach europejskich. Państwo to ma bowiem także tanie a dobre gatunki pszenicy, jakie są używane przez młynarzy zachodnio-europejskich. Koszty produkcyi mogą być znacznie zmniejszone, robotnicy są tańsi niż za granicą; dostawa do Anglii (lądowa i wodna) nie droższa niż z ognisk produkcyi mącznej w Ameryce; cena odpadków tańsza, niż w Europie. Natomiast kosztowniejsza jest niż za granicą, budowa młynów, naprawa ich, kredyt; brak także jasności i solidarności w działaniu itd.

Tak więc badania wykazały, że mąka z Rosyi mogłaby mieć powodzenie przedewszystkiem w Anglii, Holandyi, Belgii, a nawet potrafiłaby z rynków niemieckich wyprzeć węgierską, z czasem zaś—zmusić Amerykę do znacznego zmniejszenia dowozu do Europy. Jakimiż atoli drogami można dojść do tego? Przedewszystkiem trzeba mieć zawsze na względzie wymagania zagranicy, dostarczać jej taką mąkę, jakiej poszukuje i to stale. Ażeby wszakże zadość uczynić temu, trzeba wprowadzić szereg bardzo ważnych zasadniczych urządzeń i reform wewnętrznych. Podstawą ich ma być uchwalone już na zjeździe zjednoczenie wszystkich młynarzy w całem państwie. Zakres działalności i cele tego związku są następujące: Wszystkie sprawy młynarstwa zogniskuje biuro centralne w Petersburgu, którego filie powstaną w różnych miejscowościach państwa, gdzie przemysł młynarski istnieje. Mają one zbierać wiadomości o stanie danej gałęzi przemysłu, w kraju, roztrząsać i opracowywać kwestye, dotyczące potrzeb tej produkcyi; utrzymywać stosunki z instytucyami rządowemi tudzież przedstawicielami przemysłu i handlu mącznego; opracowywać programy zjazdów, dostarczać ministeryum skarbu danych i wniosków w sprawach, dotyczących przemysłu młynarskiego. Dalej w program działalności wchodzą: udział w zjazdach i różnych komisyach, rządowych i prywatnych, ma-

jących związek z przemysłem i handlem mącznym, porozumiewanie się z młynarzami, udzielanie im wszelkiego rodzaju danych, popieranie różnych starań i zabiegów, pośrednictwo we wzajemnych stosunkach młynów, peryodyczne zbieranie i grupowanie danych o produkcyi mąki i handlu na rynkach zagranicznych, o zbycie wyrobów młynarskich na rynkach krajowych i zagranicznych itd. Utworzenie pisma, poświęconego sprawom młynarstwa, opracowywanie kwestyi taryfowych, celnych, związanych z przemysłem młynarskim, tudzież spraw ubezpieczeń, stworzenie laboratoryum dla techniczno-chemicznego badania produktów mącznych, zbożowych, piekarskich itd. Do związku mogą wchodzić właściciele młynów, młynarze specyaliści, handlarze mączni i zbożowi. Prawdopodobnie i rolnicy wstęp będą mieli, jako bezpośrednio zainteresowani, tem bardziej, że niektórzy z nich są właścicielami młynów, a przypuszczać należy, iż w przyszłości młynarstwo i rolnictwo, przynajmniej w znacznej części, będą stanowiły jedną grupę przemysłową.

Z programu powyższego widzimy, że związek młynarzy będzie tworzyć rodzaj syndykatu, ale takiego, który jest popierany przez władzę ministeryalną, podczas gdy inne podlegają pewnym ograniczeniom i skrępowaniom ze strony rządu. Te wszakże syndykaty przemysłowców, które u nas dotąd powstały, mają na względzie rabunek kieszeni spożywców. Inaczej nieco wygląda związek młynarzy. Jeżeli on pójdzie drogami przez ustawę wytkniętemi, jeżeli rozwinie w całej pełni pracę gromadną, spożywcy nie ucierpią na tem, a ogólny dobrobyt w pewnej mierze wzmocni się znacznie. Zdobycie rynków obcych pozwoli podwoić a nawet potroić produkcyę. Rolnicy zatem, zamiast biedzić się nad sprzedażą ziarna, lub zbywać je spekulantom, sprzedawać będą do młynów. W miarę rozwoju tych ostatnich, technika wzrośnie jeszcze bardziej, a w ślad za tem— większe zapotrzebowanie rąk do pracy i rozszerzenie pola działalności dla ludzi fachowo wykształconych, których brak wielki dziś już daje się odczuwać. Właśnie na zjeździe między innemi poruszono sprawę utworzenia szkół młynarskich. Jedna, pierwsza w państwie, wkrótce powstanie w Odesie, a następnie szereg innych w głównych ogniskach produkcyi mącznej. Zjazd wyjednał nadto jeszcze ważną dźwignię dla młynarstwa: rozszerzenie i uprzystępnienie kredytu Banku państwa.

Z tego wszystkiego widzimy, że ogólny wiec w Petersburgu ogarnął potrzeby owej gałęzi przemysłu w całem państwie, że więc i młynarstwo w Królestwie Polskiem wiele może zyskać na tem, pomimo apatycznego zachowania się uczestników z nad Wisły, pomimo ich cudackiej polityki ekonomicznej i zbyt jednostronnych zapatrywań. Zapowiadają oni z góry: wywozić mąki za granicę nie będziemy i nie możemy z powodów następujących: Mamy u siebie najdroższy rynek mączny; geograficzne nasze położenie, zwiększa koszty eksportu i zmusza nas, przy posiłkowaniu się wodną drogą do kosztownego magazynowania mąki podczas wstrzymanej żeglugi najmniej przez pięć miesięcy. Stawia to nas po za obrębem możliwej konkurencyi. Wskutek napływu mąki z południowo-wschodnich gubernij Cesarstwa nie możemy rozwijać przemysłu młynarskiego odpowiednio do potrzeb współzawodnictwa. Stąd wniosek, że młynarstwo w Królestwie musi pozostać, jak dotąd, na poziomie rozproszonej, ślepej, pierwotnej działalności, że zatem posiłkującsię małymi środkami w skromnych rozmiarach, nigdy nie będzie mogło osiągnąć zniżenia kosztów produkcyi i udoskonaleń technicznych i pozostanie w zależności od takich warunków, któreby dałyby się zwalczyć. Może skutkiem tej rezygnacyi dobrowolnej młynarze nasi na zjeździe zapomnieli o szkole specyalnej w Warszawie i o organie własnym, o co tak głośno wołali w początkach grudnia na posiedzeniu sekcyi handlowej. Uważają oni za jedyną drogę dla siebie — zdobycie rynków zagranicznych przez Cesarstwo, co niby ochronić ma Królestwo od napływu mąki z dalszych gubernij. Zapominają wszakże o tem, że w razie prawidłowej i szerokiej organizacyi eksportu, inna mąka, jak w Ameryce, będzie wytwarzana na wywóz zagraniczny, inna — dla rynków wewnętrznych; że im bardziej się rozwinie na szeroką skalę produkcya w państwie, tem łatwiej i bezwzględniej zaleje także wszelkie rynki wewnętrzne, zgniecie niedołężnych i słabych. Rachuby więc powyższe są zupełnie mylne. Przeciwnie, młynarze z Królestwa Polskiego powinni się oprzeć na tych ogólnych zasadach, jakie zjazd uchwalił. Co zaś do nadmiernego zalewania rynków, tutaj pewnym równoważnikiem powinny być odpowiednio uregulowane taryfy, których przekształcenie, uchwalone na zjeździe, zajmie dużo czasu, więc i wszelkie wnioski nie są jeszcze spóźnione. Wielką pod tym względem usługę może wyświadczyć rozumnemi wskazówkami p. Adolf Suligowski, na którego cennym i ciekawym wykładzie w tej sprawie miałem sposobność być w Petersburgu przed otwarciem zjazdu, na posiedzeniu głównego Towarzystwa przemysłu i handlu. Ze względu na doniosłość tego przedmiotu, pomówię o nim osobno.

Zen. Piet.

— Gazeta *Žižń i iskustwo* podaje wiadomość o rozstrzygającej się w Radzie Państwa sprawie wykupu prywatnych miast i miasteczek. Projekt brzmi tak: 1) Suma indemnizacyjna odpowiadać będzie dziesięciokrotnemu dochodowi rocznemu; 2) za podstawę wykupu służyć ma dochód właścieli, tj. czynszu z gruntu, domów, sklepów itd., a także prawa monopolistyczne właścieli, dochód z targów, przemysłu, propinacyj itd. 3) wykupu dokonywa nie skarb, lecz miasto; 4) po zatwierdzeniu rachunku indemnizacyjnego, właściciel otrzyma niezwłocznie sumę wykupową z dodatkiem 1/5 części, jako wynagrodzenia dodatkowego ze skarbu; 5) funduszów dla wykupu dostarcza miastu skarb, który otrzyma zwrót udzielonych sum przez amortyzacyę, według zasad bankowych, w stosunku 5% i 6%. Fundusze, potrzebne do załatwienia rachunków ze skarbem—miasta otrzymują z czynszów pobieranych od gruntów, domów itd. Propinacye pozostaną prawem monopolistycznem do chwili ostatniego umorzenia długu skarbowego. Wykup taki bez względu czy projekt zatwierdzony będzie w tej lub innej formie, posiada wielkie znaczenie dla gubernij południowo i północno-zachodnich państwa, gdzie wiele miast, nawet tak dużych, jak np. Berdyczów, stanowi dotychczas własność prywatną.

PRASA RUSKA.

Graždanin pisze z powodu przemówienia Najjaśniejszego Pana do deputacyj:

„Oto rozległy się słowa Monarchy i z duszy zgnębionej uleciały w mgnieniu oka wszelkie obawy i wątpliwości. Duch się ożywił, serce zabiło mocniej, a przyszłość, wyglądająca posępnie, trysnęła odrazu światłem niezamąconem.

„I oto oczyma ducha jak gdyby się widziało obraz w Bogu Spoczywającego Monarchy, błogosławiącego z uśmiechem szczęścia i uznania Dostojnemu Synowi, wstępującemu na trudną drogę służenia Rosyi i wznoszącemu, jak On, ręką pewną i potężną święty sztandar Samowładzy.

„I w widzeniu tem myśli ponure zastąpiły marzenia świetlne i pokrewne sercu ruskiemu. Zrodziły się w duszy i wybiły się z niej w łzach, które zabłysły w wielu oczach.“

Mosk. Wiedomosti mówią z tegoż powodu:

„Znamienne jest słowo, którego Najjaśniejszy Pan użył dla scharakteryzowania „rojeń“ unoszących się ludzi. Rojenia te, będące niegdyś przestępstwem, nazwał On tylko niedorzecznemi. I rzeczywiście teraz, po tem wszystkiem, co przeżyła Rosya w ostatnich latach, po wszystkiem tem, co działo się i dzieje w konstytucyjnej Europie, rojenia te są tylko niedorzeczne i zupełnie bezsilne. Pochodnia Samowładztwa rozpaliła się jaskrawym płomieniem i potężną dłonią zatknięta została na wyniesionem miejscu. Nie im to, wciąż jeszcze powtarzającym martwemi ustami martwe słowa, nie im słabemi, zgrzybiałemi rękami porywać się na ściągnięcie jej z tego miejsca i słabym oddechem usiłować zgasić palące się jasno jej światło.“

KRONIKA.

Zamknięcie pisma. Ministrowie oświecenia narodowego, spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i oberprokurator Najświętszego Synodu, postanowili zamknąć zupełnie wydawnictwo gazety *Ruskaja Žižń*.

Zdrowie publiczne. W urzędzie lekarskim m. Warszawy utworzono pod przewodnictwem lekarza-hygienisty J. Polaka, komisyę dla zbadania zdrowotnych warunków przemysłu winnego w mieście oraz wypracowania przepisów względem utrzymywania piwnic i zapobieżenia podrabianiu. Do składu komisyi weszli: asesor farmacyi Bukowski, chemik pracowni miejskiej Ławlagin, d-rzy Tchórznicki i Fabian, oraz jako rzeczoznawcy pp. Langner, Paweł Seydel i Lijewski. Druga komisya w celu zbadania stanu restauracyj warszawskich, złożona z lekarzy sanitarnych J. Polaka, Wł. Janowskiego i Sawczenki, oraz urzędników do szczególnych poruczeń przy p. oberpolicmajstrze, ukończyła już oględziny. Opracowanie materyału zebranego powierzono J. Polakowi.

— W warszawskim szpitalu dla dzieci powstaje oddział dotkniętych dyfterytem, gdzie zastosowana będzie [illegible]

— Komisya Towarzystwa ochrony zdrowia w Petersburgu rozpoczęła badania, dotyczące wpływu oświetlenia naturalnego i sztucznego sal szkolnych na wzrok uczniów.

Koleje i komunikacye. *Gazeta polska* pisze: „Z telegrafu otrzymujemy wiadomości, że dozwolone zostało przyjmowanie depesz w języku polskim na wszystkich bez wyjątku stacyach.“

— W roku przeszłym koleje pruskie podały wniosek przywrócenia taryf bezpośredniej komunikacyi, dawniej ustanowionych dla „polsko-niemieckiego“ związku kolejowego. Obecnie, jak zapewnia *Kuryer warsz.*, projekt ten jest bliski urzeczywistnienia. Dyrekcya pruskich kolei skarbowych w Bydgoszczy zaprosiła do Warszawy zarządy interesowanych dróg w b. m. dla porozumienia się w sprawie zasad, na których owa komunikacya mogłaby znowu wejść w życie. Władze ministeryalne zgodziły się na projekt i postanowiły wysłać na zjazd swoich delegatów. Ma także przybyć p. Perl, zarządzający sprawami komunikacyi zagranicznych kolei rosyjskich.

— Według *Graždanina*, taryfa kolei finlandzkich przystosowana będzie do ogólno-państwowej nie wcześniej aż w r. 1898.

— Nowa taryfa komunikacyi kolejowej rusko-belgijsko-francuskiej zaczyna obowiązywać od 1 marca [illegible]

— Postanowiono wprowadzić bilety bezpośredniej komunikacyi dla podróżnych IV klasy.

Zjazdy. Od 26-go czerwca do d. 3-go sierpnia 1895-go r. w Londynie zbierze się VI-ty kongres geograficzny międzynarodowy, przy którym urządzona będzie wystawa geograficzna. Kongres dzieli się na następujące sekcye: 1) geografia matematyczna, 2) geografia fizyczna, 3) kartografia, 4) badania, 5) geografia opisowa, 6) geografia historyczna, 7) geografia stosowana, 8) wychowanie. Wpisowe wynosi funt szterling. Szczegółów udziela królewskie Towarzystwo geograficzne w Londynie (*The Royal Geografical Society, 1, Savills Row, M.*)

— W roku przyszłym postanowiono zwołać zjazd syfilidologów w Petersburgu.

Sądy. Sąd okręgowy warszawski rozstrzygnął sprawę o prawo własności *Kuryera świątecznego* i uznał długoletniego faktycznego redaktora, p. Włodzimierza Pląskowskiego, jako współwłaściciela tego pisma.

— Dn. 4 b. m. w warszawskiej izbie sądowej rozstrzygnięto w drodze apelacyjnej proces o unieważnienie testamentu Władysława Walewskiego. Jak wiadomo, nieboszczyk poczynił przed śmiercią różne zapisy na cele publiczne w testamencie urzędowym. Potem jednak bliski jego krewny, Stanisław Walewski, na mocy wcześniejszego testamentu z r. 1882, jako spadkobierca całego majątku, wystąpił o unieważnienie zapisów późniejszych. W r. 1893 sąd okręgowy warszawski uwzględnił akcyę powyższą i testament urzędowy unieważnił. Ogólny zapisobierca, Tadeusz Romocki, na którego zmarły włożył obowiązek wypłacenia legatów, tudzież Michał Walewski, z mocy testamentu urzędowego założyli od tego wyroku apelacye do izby sądowej. Ostatecznie apelacye te izba oddaliła i zatwierdziła wyrok pierwszej instancyi. Apelujących skazano na koszty sądowe w sumie rs. 250.

Wypadki. Dn. 30 stycznia o godz. 5½ rano na morzu Północnem parowiec pasażersko-pocztowy „Elba," należący do Towarzystwa północno-niemieckiego Lloyda, zatonął skutkiem zetknięcia się z węglowym statkiem angielskim „Crathie." Do spotkania przyczyniła się burza i silna mgła. Z 240 podróżnych i 166 załogi zdołało się uratować tylko 20 osób. Pasażerowie składali się z węgrów, czechów, rosyan, polaków i niemców; prawie wszyscy jechali jako emigranci do Ameryki. Załoga statku, który spowodował katastrofę, nie chciała dopomóc w ratunku.

— W kopalniach Monceau des mines (Francya) zdarzył się wybuch gazów. Czterdziestu górników zginęło; ranionych siedmiu.

Zmarli. Maurycy Carrière w Monachium; głośny filozof i estetyk. Był profesorem filozofii na uniwersytecie w Giessen, następnie od r. 1853 do ostatniej chwili w Monachium profesorem estetyki i historyi sztuki. Do wybitniejszych dzieł jego należą: „Filozoficzne zapatrywanie świata w epoce reformacyi," „O istotach i formach poezyi," „O sztuce w związku z rozwojem kultury."

— Karol Secrétan w Lozannie; głośny filozof szwajcarski. Urodził się w powyższem mieście i tam przez długie lata był profesorem. Przed siedmiu laty obchodzono 50-letni jubileusz jego pracy profesorskiej. Z dzieł na wymienienie zasługują: „Filozofia wolności," „Cywilizacya i wiara," „Kazania świeckie," „Rozum i chrześcianizm."

— Paweł Mantz w Paryżu; estetyk i publicysta.

— Nenadowicz; znany poeta serbski.

Redaktor i Wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Января 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.